„Lalka” Bolesława Prusa – wnikliwy portret polskiego społeczeństwa



Marcin Dorociński jako Stanisław Wokulski i Kamila Urzędowska jako Izabela Łęcka w filmie „Lalka” (2026), reż. Maciej Kawalski, fot. materiały prasowe / Kino Świat

Joanna Sokołowska-Gwizdka

„Lalka” Bolesława Prusa powstała w czasach, gdy Polska nie istniała na mapie Europy, a po klęskach kolejnych powstań narodowych nadszedł okres refleksji nad przyszłością narodu. Nie rezygnując z marzeń o niepodległości, poszukiwano innych sposobów wzmocnienia społeczeństwa. Po upadku powstania styczniowego szczególnego znaczenia nabrały pozytywistyczne hasła pracy organicznej i pracy u podstaw. Rozwój przedsiębiorczości, edukacji i nauki oraz przezwyciężanie podziałów społecznych miały budować siłę narodu pozbawionego własnego państwa. Idee te znalazły szerokie odzwierciedlenie w literaturze epoki.

W tym kontekście Bolesław Prus przyjrzał się społeczeństwu Warszawy drugiej połowy XIX wieku, pozostającej pod zaborem rosyjskim. Stworzył jego wielowymiarowy portret, ukazując podziały klasowe, aspiracje, uprzedzenia oraz sprzeczności między deklarowanymi wartościami a rzeczywistym postępowaniem. Zarazem z przenikliwością opisał ludzką potrzebę miłości, sukcesu i społecznego uznania. Dzięki temu ponad sto trzydzieści lat po pierwszym wydaniu „Lalka” nadal skłania do nowych interpretacji, a wiele obserwacji Prusa zachowuje aktualność.



Bolesław Prus, 1897, drzeworyt Józefa Holewińskiego według Antoniego Kamieńskiego, Biblioteka Narodowa, Polona, domena publiczna

Bolesław Prus – doświadczenia pisarza

Bolesław Prus, a właściwie Aleksander Głowacki, urodził się w 1847 roku w Hrubieszowie, w zubożałej rodzinie szlacheckiej. Jego ojciec, Antoni Głowacki, należał do rodu pieczętującego się herbem Prus I, od którego pisarz zaczerpnął swój literacki pseudonim. Utrata dawnego majątku sprawiła, że rodzina

musiała szukać utrzymania w pracy zarobkowej.

W 1863 roku szesnastoletni Aleksander wziął udział w powstaniu styczniowym. Podczas jednej z potyczek został ranny i dostał się do rosyjskiej niewoli. Klęska powstania odcisnęła piętno na jego pokoleniu, wychowanym w romantycznej tradycji walki o wolność. Prus stał się później jednym z najważniejszych przedstawicieli polskiego pozytywizmu.

Interesował się matematyką, fizyką i osiągnięciami techniki. Marzył o pracy naukowej, lecz trudności materialne skierowały go ku dziennikarstwu i literaturze. Popularność przyniosły mu „Kroniki tygodniowe”, publikowane w warszawskiej prasie. Z humorem, ironią i społeczną wrażliwością opisywałcodzienne życie miasta: nowe wynalazki, działalność przedsiębiorców, obyczaje arystokracji, problemy ubogich mieszkańców oraz rozwój handlu i edukacji. Z tych obserwacji wyrosła „Lalka”, w której poddał krytycznej analizie społeczeństwo własnej epoki.

*



LALKA.

POWIEŚĆ

przez

Bolesława Prusa.

TOM II.

(Ciąg dalszy)

IX. Pamiętnik starego subjekta.

Od kilku miesięcy utrzymuje się pogłoska, że w dniu 26-go czerwca r. b. zginął w Afryce ks. Ludwik Napoleon, syn cesarza. I to jeszcze zginął w bitwie z dzikim narodem, o którym nie wiadomo ani gdzie mieszka, ani jak się nazywa? bo przecie zulusami nie może nazywać się żaden naród.

Tak wszyscy mówią. Nawet miała tam pojechać cesarzowa Eugenja i przywieźć zwłoki syna do Anglji. Czy tak jest w rzeczy samej, nie wiem, bo już od lipca nie czytuję gazet i nie lubię rozmawiać o polityce.

Głupia jest polityka! Dawniej nie było telegramów i artykułów wstępnych, a przecie świat posuwał się naprzód i każdy człowiek rozsądny mógł zorjentować się w sytuacji politycznej. Dziś zaś są telegramy, artykuły wstępne i ostatnie wiadomości, ale wszystko służy do balansowania w głowach. Gorzej nawet niż balansowaniu, bo odejmują serca

Bolesław Prus

Podpisy:

1. *Pierwodruk „Lalki” Bolesława Prusa w „Kurierze Codziennym”, 1889, domena publiczna*
2. *Strona tytułowa pierwszego wydania „Lalki” Bolesława Prusa, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1890, domena publiczna*

Warszawa pod zaborami

„Lalka” ukazywała się w odcinkach na łamach „Kuriera Codziennego” w latach 1887–1889, a jej pierwsze wydanie książkowe opublikowano w 1890 roku. Akcja powieści rozgrywa się przede wszystkim w Warszawie lat 1878–1879, znajdującej się pod panowaniem rosyjskim.

Warszawa Prusa jest miastem kontrastów. Eleganckie salony i wystawne przyjęcia sąsiadują z ubóstwem Powiśla. Ludzie należący do różnych warstw społecznych spotykają się na ulicach i w sklepach, lecz dzielą ich nie tylko pieniądze, ale także pochodzenie, obyczaje i wzajemne uprzedzenia.

Pisarz krytycznie przedstawia arystokrację, przywiązaną do dawnych przywilejów, lekceważącą pracę i przedsiębiorczość, a jednocześnie obojętną wobec ubóstwa. Dostrzega również możliwości rozwoju, które społeczeństwo marnuje wskutek własnych ograniczeń. „Lalka” jest więc nie tylko obrazem Warszawy pod zaborami, lecz także próbą zrozumienia słabości społeczeństwa, od którego zależała przyszłość kraju.



Marcin Dorociński jako Stanisław Wokulski w filmie „Lalka” (2026), reż. Maciej Kawalski, fot. materiały prasowe / Kino Świat

Stanisław Wokulski – między romantyzmem a pozytywizmem

Stanisław Wokulski należy do najbardziej złożonych postaci polskiej literatury. Jest przedsiębiorcą, który dzięki inteligencji, pracowitości i odwadze zdobywa znaczny majątek, a jednocześnie romantykiem podporządkowującym życie uczuciu do Izabeli Łęckiej.

W jego osobowości spotykają się dwie epoki. Młodość ukształtowała romantyczna tradycja walki o wolność, późniejsze życie – pozytywistyczna wiara w pracę, wiedzę i rozwój gospodarczy. Wokulski dostrzega możliwości niedostępne innym i potrafi podejmować ryzyko. Mógłby odegrać istotną rolę w modernizacji społeczeństwa, lecz jego ambicje coraz silniej wiążą się z pragnieniem zdobycia miłości Izabeli oraz uznania

arystokratycznego środowiska.

Odkrywa, że pieniądze nie wystarczają, aby przekroczyć bariery społeczne. Mimo majątku i osobistych osiągnięć pozostaje w oczach arystokracji człowiekiem niższego stanu. Jego dramat polega również na tym, że sam zaczyna oceniać własną wartość według kryteriów środowiska, którego ograniczenia dobrze rozumie.

Obok Wokulskiego pojawiają się Ignacy Rzecki, wierny dawnym ideałom i legendzie napoleońskiej oraz młody Julian Ochocki, zafascynowany nauką i techniczną przyszłością świata. Prus rozważał nawet tytuł „Trzy pokolenia”. Rzecki, Wokulski i Ochocki reprezentują bowiem trzy generacje idealistów, których aspiracje napotykają opór rzeczywistości.

*





*

Podpisy:

1. *Stanisław Wolski (1859–1894), „Loża pierwszego piętra”, ilustracja do „Lalki” Bolesława Prusa, domena publiczna*
2. *Fragment rękopisu „Lalki” Bolesława Prusa, około 1889 roku, domena publiczna*

Dlaczego „Lalka” pozostaje współczesna?

Choć od wydarzeń opisanych przez Prusa dzieli nas niemal półtora wieku, wiele przedstawionych w powieści mechanizmów społecznych i psychologicznych pozostaje aktualnych.

Jednym z nich jest sposób oceniania człowieka. W świecie „Lalki” pochodzenie, majątek i znajomości często znaczą więcej niż talent czy osobiste osiągnięcia. Współcześnie dawne tytuły arystokratyczne straciły znaczenie, ale nie zniknęły elitarne środowiska, hierarchie prestiżu i bariery społeczne. O pozycji człowieka nadal mogą decydować rodzinne powiązania, wpływowe znajomości, ukończone uczelnie czy przynależność do określonych kręgów zawodowych.

Równie aktualna jest psychologia miłości przedstawiona przez Prusa. Wokulski kocha nie tylko Izabelę, ale także wyobrażenie, które o niej stworzył. Widzi w niej uosobienie piękna i świata, do którego chciałby należeć. Nie dostrzega sprzeczności pomiędzy własnym ideałem a rzeczywistością.

Współczesna kultura wizerunku, szczególnie obecna w mediach społecznościowych, nadaje tym mechanizmom nową formę. Podobnie jak w salonach epoki Prusa, znaczenie mają sposób prezentowania siebie, towarzystwo, pozycja i opinia innych.

Zarówno Wokulski, jak i Izabela są w pewnej mierze więźniami społecznych oczekiwań. On usiłuje zdobyć miłość i uznanie dzięki pieniądzom, ona nie potrafi wyobrazić sobie życia poza zasadami własnego środowiska. Ich wzajemne niezrozumienie ma więc nie tylko wymiar osobisty, ale także społeczny.

Z dzisiejszej perspektywy interesująca jest również postać Juliana Ochockiego. Jego marzenia o naukowych odkryciach i wynalazkach wydają się otoczeniu dziwactwem, podczas gdy on sam dostrzega w nich przyszłość cywilizacji. W epoce sztucznej inteligencji i szybkiego rozwoju technologii wątek ten nabiera nowego znaczenia. Prus stawiał pytanie, czy społeczeństwo potrafi docenić naukę i wspierać ludzi wyprzedzających swoją epokę.

Artykuł powstał przy współpracy z ChatGPT (GPT-6, OpenAI) w zakresie wyszukiwania źródeł i weryfikacji informacji historycznych.

Źródła historyczne i literackie:

1. Culture.pl – „Bolesław Prus (Aleksander Głowacki). Życie i twórczość".

2. Biblioteka Narodowa – „Wszystko o Lalce Bolesława Prusa".

3. Bolesław Prus – „Lalka", Warszawa, Gebethner i Wolff, 1890, tekst źródłowy powieści, udostępniony w trzech tomach w bibliotece cyfrowej Polona.

Nineteenth-Century Łódź as the Promised Land in Władysław Reymont’s Novel



“The Promised Land” mural by Maciej Bielewicz, created in May 2025 to mark the 50th anniversary of Andrzej Wajda’s film. 120 Piotrkowska Street, Łódź. Photo: Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

There are cities that take shape slowly, accumulating the memories of generations over centuries. And there are others that spring up almost overnight, born of human enterprise, ambition, and the desire for success. Nineteenth-century Łódź belonged to the latter. Within just a few decades, a small town

surrounded by fields and forests was transformed into a mighty industrial center. Where wooden houses had stood not long before, multistory factories, palaces resembling aristocratic residences, and entire neighborhoods of workers' housing sprang up. Smoke from factory chimneys drifted above the rooftops, and the city lived to the rhythm of machines that never seemed to rest.

People came here from all corners of Europe: Poles, Germans, Jews, and Russians. Some brought capital, others their skills, and still others nothing but the hope that here, at last, their fortunes might change. For many, Łódź was a place where they could begin anew, make a fortune, rise in society, and escape poverty and obscurity.

It was in this city, whose power was built on dreams but also on the ruthless pursuit of wealth, that Władysław Reymont found the inspiration for one of the most important novels in Polish literature — *The Promised Land*.



Władysław Stanisław Reymont, 1897. Photographer unknown. Collection of the National Library of Poland in Warsaw / Polona. Public domain.

*

Reymont and the Epic of Łódź

Władysław Stanisław Reymont, born in 1867 in Kobiele Wielkie, was not a writer shaped by academic circles or literary salons. Before gaining literary recognition, he experienced life in all its

unpredictability. He trained as a tailor, worked for the railway, and performed with traveling theater companies. He observed people, their weaknesses, hopes, and passions. He was fascinated not only by everyday life but also by the powerful collective forces capable of overwhelming the individual.

In 1896, Reymont traveled to Łódź to see for himself a city growing at a pace unprecedented in the Polish lands. For several months, he observed its daily life, getting to know its people, factories, and the mechanisms behind the creation of vast fortunes. The city's energy fascinated him, yet it also filled him with unease. In a letter to Jan Lorentowicz dated November 5, 1896, he described the growth of the city, its fortunes, and its business ventures as taking place „with truly American speed." He saw Łódź as an unstoppable economic force, calling it „a vast stomach devouring people and land." Yet within this restless, multicultural world, he discovered an extraordinary source of literary inspiration. „Łódź is an epic to me," he confided to Lorentowicz.

This remarkable vision of the city found expression in his novel. Łódź is far more than the setting for its events. It becomes a character in its own right, an elemental force that imposes its laws upon the people who inhabit it. It draws them into its relentless motion, promises riches, but demands a heavy price in return. From his observations of the industrial metropolis,

Reymont created an epic of modern capitalism, in which human dreams, ambitions, and passions intertwine with the ruthless laws of money.

The Promised Land was serialized between 1897 and 1898 and published in book form in 1899. A quarter of a century later, Reymont was awarded the Nobel Prize in Literature for *The Peasants*, his great epic of Polish rural life. Although these two works explore seemingly opposite worlds, they share an extraordinary ability to portray entire communities, their conflicts, customs, and struggles for survival.



The Palace of Karol and Anna Scheibler in Łódź, now home to the Museum of Cinematography. Photo: Jacek Gwizdka.



The Palace of Karol and Anna Scheibler in Łódź, now home to the Museum of Cinematography. The palace's historic interiors were used as filming locations for Andrzej Wajda's The Promised Land. Photo: Jacek Gwizdka.

*

Łódź Under Tsarist Rule

The history of industrial Łódź is all the more remarkable because the city flourished at a time when Poland no longer existed on the political map of Europe. The country had been partitioned among neighboring powers, and Łódź lay within the Kingdom of

Poland, under Russian rule.

The city's development was closely tied to the economy of the Russian Empire. Its vast eastern markets offered Łódź's factory owners opportunities for selling their goods on a scale that proprietors of small weaving workshops could scarcely have imagined. At the same time, industrialists had to contend with the policies of the Russian authorities, their administrative decisions, customs duties, and transportation restrictions.

At the beginning of the nineteenth century, Łódź had only a few hundred inhabitants. By the end of the century, its population had grown to more than three hundred thousand. The transformation unfolded at a pace that inspired both admiration and unease.

The city became home to the vast industrial enterprises of Karol Scheibler, Izrael Poznański, Ludwik Geyer, and other manufacturers. Alongside the factories rose the owners' grand residences, hospitals, schools, churches, synagogues, and entire neighborhoods of workers' housing. Wealth existed side by side with poverty, while the city's rich cultural diversity was accompanied by fierce competition for economic power.



„Ziemia obiecana” (1974), reż. Andrzej Wajda, materiały fotograficzne: WFDiF / 35mm.online. Jeszcze przez ponad 100 lat pracowano na tych samych maszynach w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego, co za czasów Izaaka Poznańskiego.

*

Łódź – An Industrial Textile Empire

Reymont’s comparison of Łódź’s development to that of America was no coincidence. The nineteenth century witnessed the emergence of new industrial cities on both sides of the Atlantic, growing at a pace that seemed to defy the established course of history.

In the United States, a similar transformation could be observed in Lowell, Massachusetts, one of the leading centers of the American textile industry. Along the Merrimack River, vast spinning mills and weaving factories sprang up, powered first by water and later by steam. Young women from rural families came to the city seeking employment and financial independence, followed by successive waves of immigrants. Lowell became a symbol of the American Industrial Revolution, embodying both its extraordinary opportunities and its social tensions.

In Pittsburgh, Pennsylvania, fortunes were built on iron and steel. In Chicago, where railroads, the grain trade, and meatpacking fueled economic expansion, the pace of growth evoked the image of a city rising almost overnight. American industrialists such as Andrew Carnegie and John D. Rockefeller became symbols of an era in which capital could transform not only the physical landscape but also the social hierarchy.

Łódź was not an American city. It lacked political freedom and operated under different economic conditions. It remained part of the Russian Empire and developed within a distinct social and political environment. Yet the similarities between these two worlds were striking.

On both sides of the Atlantic, a powerful myth took hold: that

through individual initiative, determination, and enterprise, anyone could build a fortune. It was a dream of upward mobility, independence, and seemingly limitless opportunity. In America, it eventually became known as the **American Dream**. In Łódź, it was the **Promised Land**.

There was also a less romantic parallel. In both worlds, immense fortunes existed alongside profound social inequalities, harsh working conditions, and conflicts between factory owners and workers.

*

Cotton from America – A Thread Connecting Continents

Yet there was a far more tangible connection between Łódź and America than their shared economic ambitions. That connection was cotton.

The essential raw material of Łódź's textile industry had to be imported from distant lands. One of its principal sources was the United States, particularly the Southern states, where vast cotton plantations stretched across the landscape.

Texas was among the regions participating in this international trade. Cotton was transported to ports, shipped across the Atlantic, and passed through the hands of European merchants

and intermediaries before eventually reaching the continent’s textile mills.

The textile industry of Łódź was therefore dependent on supplies of American cotton. This vulnerability became painfully apparent when the American Civil War broke out in 1861.

The blockade of Confederate ports and the disruption of cotton shipments led to what became known in Europe as the „cotton famine.” The crisis also reached Łódź. In January 1862, Ludwik Geyer’s factories suspended production, partly because of a shortage of raw cotton.

Few examples illustrate nineteenth-century globalization more vividly. From the plantations of the American South to the factories of Łódź stretched an invisible web of economic interdependence, connecting continents, people, and their destinies.



St. Alexander Nevsky Orthodox Cathedral in Łódź, built between 1879 and 1884 to a design by Hilary Majewski. Photo: Stevenlodz / Wikimedia Commons, CC BY-SA 4.0.

*

The Railway, the Orthodox Cathedral, and the Politics of Wealthy Industrialists

The rapid growth of industry required an efficient transportation system. Yet for many years, Łódź had no direct railway connection. Cotton, coal, and machinery had to be transported

by horse-drawn wagons from railway stations outside the city. One such station was Rokiciny, located along the Warsaw–Vienna Railway.

For industrialists, this posed a serious problem. Expanding factories required ever-increasing quantities of raw materials, while finished textiles had to reach distant markets. Łódź's factory owners therefore lobbied for the construction of a railway line.

It was not until 1865 that Tsar Alexander II authorized the construction of a railway connecting Łódź with Koluszki. Freight services began shortly afterward, followed by passenger services the next year. The opening of the Łódź Factory Railway marked a new chapter in the city's economic history.

Not far from Łódź Fabryczna Railway Station stands St. Alexander Nevsky Orthodox Cathedral, whose richly ornamented architecture remains a reminder of the era of Russian rule.

The cathedral's origins were closely tied to the political realities of the time. In 1879, following a failed assassination attempt on Tsar Alexander II, a decision was made to build the church. Among its benefactors were some of Łódź's wealthiest industrialists, including Karol Scheibler and Izrael Poznański. Designed by Hilary Majewski, the cathedral was completed and

consecrated in 1884.

In a city where different nationalities and religions converged, money often proved to be a common language. Economic pragmatism could transcend religious and national boundaries, even as political dependencies and social inequalities remained firmly in place.



The Promised Land (1974), directed by Andrzej Wajda. Photographic materials: WFDiF / 35mm.online.

*

The Promised Land – Between Biblical Hope and the Illusion of Wealth

The title of Reymont’s novel has its origins in the Bible. The

Promised Land, Canaan, was the land toward which Moses led the Israelites — a symbol of hope, freedom, and the fulfillment of God’s promise.

In nineteenth-century Łódź, however, these words took on an ironic meaning.

For thousands of newcomers, the city held the promise of dreams fulfilled. One did not have to inherit a great fortune to imagine becoming a factory owner someday. Courage, ingenuity, perseverance, and a little luck were supposedly all that was needed.

Yet Reymont reveals how easily the promise of happiness can turn into a relentless pursuit of money, and how success can become a force that destroys human relationships.

The novel’s three protagonists — Karol Borowiecki, a Pole; Maks Baum, a German; and Moryc Welt, a Jew — come from three different cultural worlds, yet they share a single dream: to establish their own factory and build a fortune.

Their friendship and joint venture become a metaphor for the multinational character of Łódź. At the same time, Reymont portrays a city in which traditional values gradually give way to the logic of profit. Honor, loyalty, love, and even human life can

become elements of economic calculation.

Yet the writer does not offer a simple morality tale of wicked rich men and virtuous poor people. His characters are caught in the mechanisms of a world they themselves help create. Money grants them freedom, yet at the same time binds them ever more tightly.

It is precisely this paradox that gives *The Promised Land* its timeless significance.



The Promised Land (1974), directed by Andrzej Wajda. Outside the former Izrael Poznański factory. Photographic materials: WFDiF / 35mm.online.

*

Andrzej Wajda and His Adaptation of *The Promised Land*

More than seventy years after the publication of Reymont's novel, Andrzej Wajda returned to the world the writer had created. His monumental film adaptation, produced in 1974 and released in theaters in February 1975, became one of the greatest achievements of Polish cinema. The film received an Academy Award nomination for Best Foreign Language Film.

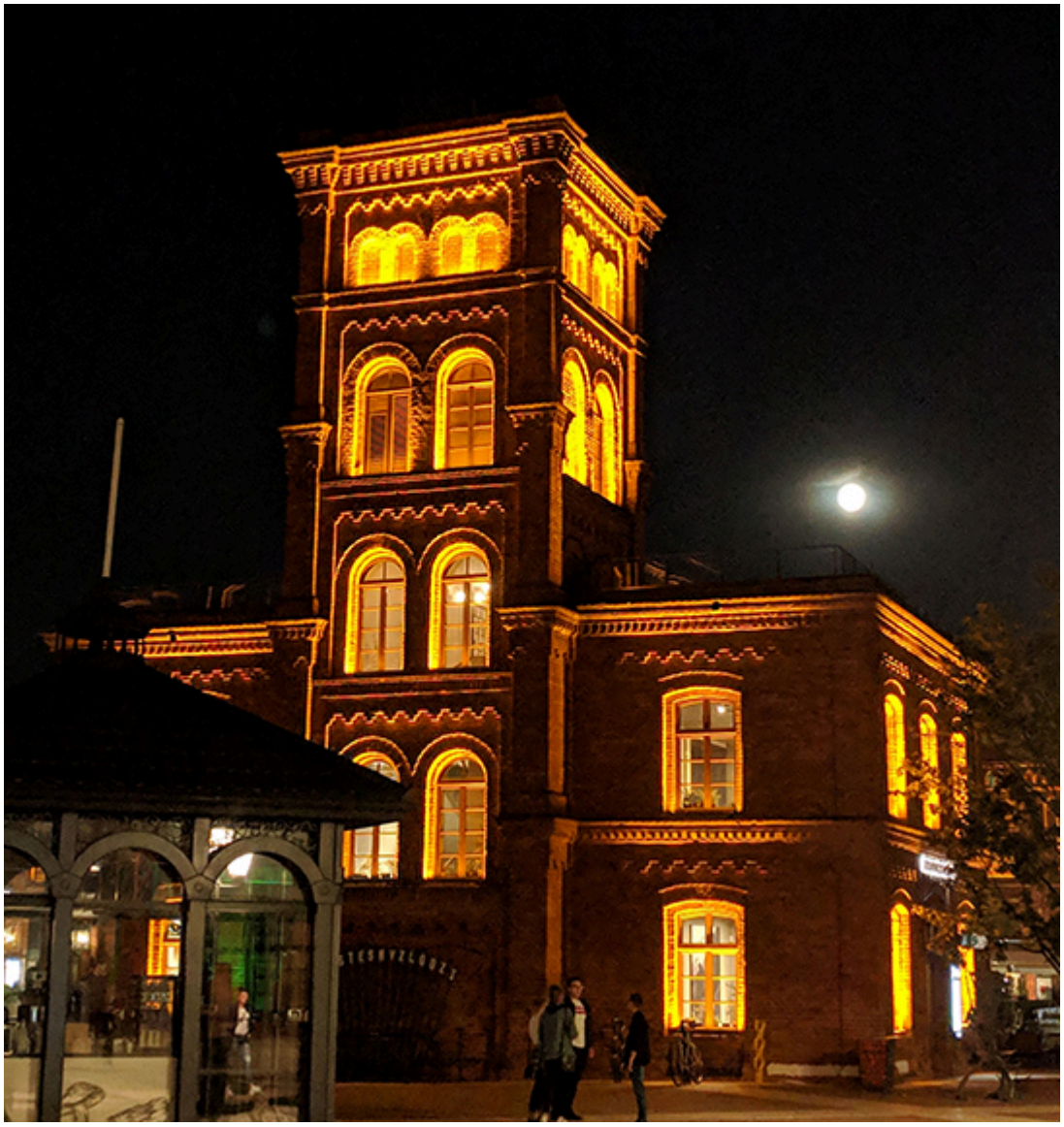
Daniel Olbrychski as Karol Borowiecki, Wojciech Pszoniak as Moryc Welt, and Andrzej Seweryn as Maks Baum delivered unforgettable performances. The cinematography of Witold Sobociński, Edward Kłosiński, and Wacław Dybowski, together with Wojciech Kilar's musical score, gave the film extraordinary expressive power. Łódź once again became a character in its own right — a city of movement, noise, fire, opulence, and human suffering.

Wajda did not simply transfer the novel faithfully to the screen. He offered his own interpretation of the story, particularly evident in his portrayal of Karol Borowiecki and in the film's ending.

In Reymont's novel, despite his moral compromises and accumulated wealth, the protagonist ultimately comes to a

painful realization about his wasted life. He begins to recognize the possibility of finding meaning in serving others. In Wajda's film, however, Borowiecki is denied this prospect of moral redemption. He remains a man governed by the logic of capital, while the final scene, depicting the brutal suppression of a workers' protest, gives the story a far sharper social and political dimension.

Wajda also viewed nineteenth-century Łódź through the lens of twentieth-century experience, including the memory of workers' protests and violence perpetrated by the communist authorities. The result was a film that not only reinterpreted Reymont's novel but also spoke to the realities of the director's own time.



Manufaktura, now an arts and shopping complex housed in the former Izrael Poznański textile factory. Photo: Jacek Gwizdka.

*

Artists in Former Industrial Spaces

The industrial Łódź of the past has vanished, but its traces remain visible throughout the city. The monumental factories of Scheibler and Poznański, the industrialists' palaces, the workers' housing estates of Księży Młyn, churches, Orthodox cathedrals,

and former synagogues recall a time when Łódź was one of the most important textile centers in this part of Europe.

Today, these former industrial spaces are being given new life. Within the walls of old factories, museums, galleries, universities, residences, and gathering places are emerging. Łódź, once a city that produced textiles on an enormous scale, is increasingly shaping its identity around culture, art, cinema, and the memory of its own history.

One might say that the city is once again seeking to create its own promised land.

Reymont's novel raises questions that have lost none of their relevance: Does achieving everything one has dreamed of truly bring happiness? Does wealth mean freedom, or can it become another form of captivity? Must great advances in civilization come at the expense of those who do not share in their rewards?

These dilemmas connected nineteenth-century Łódź with America's industrial cities. And they continue to resurface wherever people believe that economic success will fulfill their deepest aspirations.

Perhaps this is precisely why *The Promised Land* remains such a compelling work. It is more than a story about the industrialists

of the past, capitalism, and Łódź. It is a story about human nature, the power of dreams, and the price we are willing to pay to make them come true.

This article was prepared with the assistance of ChatGPT (GPT-6, OpenAI) in researching sources and verifying historical information.

*

See also:

> The 100th Anniversary of Władysław Reymont’s Nobel Prize for „The Peasants”

Sources:

State Archives in Łódź
Łódź Industrialists (Łódzcy fabrykanci)

Central Museum of Textiles in Łódź
The Myth of Łódź as the Promised Land

Łódź–Poznań Orthodox Diocese
History of the Orthodox Parish in Łódź

Texas State Historical Association
Authors: Karen Gerhardt Britton, Fred C. Elliott, and E. A. Miller.
Cotton Culture – Handbook of Texas

Texas State Historical Association
Authors: Jack Becker and Matthew K. Hamilton.
Wartime Cotton Trade – Handbook of Texas

Texas State Historical Association
Antebellum Texas – Handbook of Texas

National Park Service
Author: Thomas Dublin.
Lowell: The Story of an Industrial City

National Park Service
The Mill Girls of Lowell

Władysław Stanisław Reymont
Ziemia obiecana (The Promised Land), 1899.

Władysław Stanisław Reymont

Korespondencja 1890–1925 (Correspondence, 1890–1925), edited and introduced by Barbara Koc, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warsaw, 2002, pp. 208–209.

Dorota Samborska-Kukuć
"Reymonta osobiste i literackie spotkania z Łodzią" (Reymont's Personal and Literary Encounters with Łódź), *Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica*, No. 1 (68), 2024.

National Film Archive – Audiovisual Institute (FINA)
The Promised Land – FINA

Andrzej Wajda – Official Website
The Promised Land – Andrzej Wajda

Polish Film Academy
The Promised Land – Polish Film Academy

Culture.pl
Chronology of Andrzej Wajda's Life

XIX-wieczna Łódź jako ziemia obiecana z powieści Władysława Reymonta



Mural „Ziemia obiecana” Macieja Bielewicza, powstały w maju 2025 roku z okazji 50-lecia filmu Andrzeja Wajdy, Łódź, ul. Piotrkowska 120, fot. Jacek Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Są miasta, które powstają powoli, przez stulecia gromadząc pamięć kolejnych pokoleń. Są też takie, które rodzą się niemal nagle, z ludzkiej przedsiębiorczości, ambicji i pragnienia sukcesu. Do tych drugich należała dziewiętnastowieczna Łódź. W ciągu kilku dziesięcioleci niewielkie miasteczko, otoczone polami

i lasami, przeobraziło się w potężny ośrodek przemysłowy. Tam, gdzie niedawno stały drewniane domy, wyrosły wielopiętrowe fabryki, pałace przypominające arystokratyczne rezydencje i całe dzielnice robotniczych mieszkań. Nad dachami unosiły się dymy kominów, a miasto żyło w rytmie maszyn, które nie znały odpoczynku.

Przybywali tu ludzie z różnych stron Europy. Polacy, Niemcy, Żydzi i Rosjanie. Jedni mieli kapitał, inni umiejętności, jeszcze inni tylko nadzieję, że właśnie tutaj odmieni się ich los. Dla wielu z nich Łódź była miejscem, gdzie można było zacząć od nowa, zdobyć majątek, awansować społecznie, wyrwać się z biedy i anonimowości.

W tym mieście, którego potęga wyrastała z marzeń, ale również z bezwzględnej walki o pieniądze, Władysław Reymont odnalazł temat jednej z najważniejszych powieści polskiej literatury — „Ziemi obiecanej”.



Władysław Stanisław Reymont, 1897, fot. autor nieznany, zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie / Polona, domena publiczna
*

Reymont i epos o Łodzi

Władysław Stanisław Reymont, urodzony w 1867 roku w Kobielach Wielkich, nie należał do pisarzy wychowanych w akademickich salonach. Zanim zdobył literackie uznanie, poznawał życie od jego najbardziej nieprzewidywalnej strony.

Uczył się krawiectwa, pracował na kolei, występował z wędrownymi zespołami teatralnymi. Obserwował ludzi, ich słabości, nadzieje i namiętności. Fascynowała go zarówno codzienność, jak i wielkie zbiorowe siły, które potrafią podporządkować sobie jednostkę.

W 1896 roku Reymont przyjechał do Łodzi, by z bliska przyjrzeć się miastu, które rosło w tempie niespotykanym na ziemiach polskich. Przez kilka miesięcy obserwował jego życie, poznawał ludzi, fabryki i mechanizmy rodzących się fortun. Łódź fascynowała go swoją energią, lecz jednocześnie budziła niepokój. W liście do Jana Lorentowicza z 5 listopada 1896 roku pisał o rozroście miasta, fortun i interesów „z iście amerykańską szybkością". Widział w niej niepohamowaną potęgę ekonomiczną, nazywając ją „wielkim, trawiącym ludzi i ziemie żołądkiem". A jednak w tym niespokojnym, wielonarodowym świecie odnajdywał niezwykłą siłę literacką. „Łódź – to epos dla mnie" — wyznał Lorentowiczowi.

To niezwykłe spojrzenie na miasto znalazło wyraz w powieści. Łódź nie jest w niej tylko miejscem wydarzeń. Staje się osobnym bohaterem, żywiołem, który narzuca ludziom swoje prawa. Wciąga ich w nieustanny ruch, obiecuje bogactwo, ale żąda za nie wysokiej ceny. Z obserwacji przemysłowej metropolii Reymont stworzył epopeję nowoczesnego kapitalizmu, w której ludzkie marzenia, ambicje i namiętności splatają się z

bezwzględnymi prawami pieniądza.

„Ziemia obiecana” ukazywała się w odcinkach w latach 1897–1898, a w 1899 roku została wydana w formie książkowej. Ćwierć wieku później Reymont otrzymał Literacką Nagrodę Nobla za „Chłopów”, wielką epopeję polskiej wsi. Te dwa dzieła, tak odległe tematycznie, łączy niezwykła umiejętność ukazywania całych społeczności, ich konfliktów, obyczajów i walki o przetrwanie.



Pałac Karola i Anny Scheiblerów w Łodzi, obecnie siedziba Muzeum Kinematografii, fot. Jacek Gwizdka



Pałac Karola i Anny Scheiblerów w Łodzi, obecnie siedziba Muzeum Kinematografii. Zabytkowe wnętrza pałacu wykorzystano podczas realizacji „Ziemi obiecanej” Andrzeja Wajdy, fot. Jacek Gwizdka

*

Łódź pod carskim panowaniem

Historia przemysłowej Łodzi jest tym bardziej niezwykła, że miasto rozwijało się w państwie, którego nie było na mapie politycznej Europy. Polska znajdowała się pod zaborami, a Łódź

leżała w Królestwie Polskim, pozostającym pod panowaniem rosyjskim.

Rozwój miasta był ściśle związany z gospodarką imperium. Olbrzymie rynki wschodnie dawały łódzkim fabrykantom możliwości zbytu, o jakich nie mogli marzyć właściciele niewielkich warsztatów tkackich. Jednocześnie przemysłowcy musieli liczyć się z polityką rosyjskich władz, ich decyzjami administracyjnymi, cłami i ograniczeniami komunikacyjnymi.

Na początku XIX wieku Łódź liczyła zaledwie kilkuset mieszkańców. Pod koniec stulecia było ich już ponad trzysta tysięcy. Rozwój dokonywał się w tempie, które budziło podziw, ale też niepokój.

W mieście powstawały wielkie przedsiębiorstwa Karola Scheiblera, Izraela Poznańskiego, Ludwika Geyera i innych przemysłowców. Wraz z fabrykami wyrastały rezydencje właścicieli, szpitale, szkoły, kościoły, synagogi i robotnicze osiedla. Zamożność sąsiadowała z biedą, a wielokulturowość z rywalizacją o ekonomiczne wpływy.



„Ziemia obiecana” (1974), reż. Andrzej Wajda, materiały fotograficzne: WFDiF / 35mm.online. Jeszcze przez ponad 100 lat pracowano na tych samych maszynach co za czasów Izaaka Poznańskiego, m.in. w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego.

*

Łódź – przemysłowe imperium włókiennicze

Reymontowskie porównanie rozwoju Łodzi do Ameryki nie było przypadkowe. Dziewiętnasty wiek przyniósł po obu stronach Atlantyku narodziny nowych miast przemysłowych, których dynamika zdawała się przeczyć dotychczasowym prawom historii.

W Stanach Zjednoczonych podobne zjawisko można było obserwować w Lowell w stanie Massachusetts, jednym z najważniejszych ośrodków amerykańskiego przemysłu włókienniczego. Nad rzeką Merrimack powstały wielkie przędzalnie i tkalnie, napędzane energią wodną, a później także parową. Do miasta przybywały młode kobiety z wiejskich rodzin, szukające pracy i niezależności finansowej, następnie zaś kolejne fale imigrantów. Lowell stało się symbolem amerykańskiej rewolucji przemysłowej — jej niezwykłych możliwości, ale również napięć społecznych.

W Pittsburghu w Pensylwanii fortuny powstawały na stali i żelazie. W Chicago, rozwijającym się dzięki kolejom, handlowi zbożem i przemysłowi mięsnym, tempo wzrostu przywoływało obraz miasta budowanego niemal z dnia na dzień. Amerykańscy przedsiębiorcy, tacy jak Andrew Carnegie czy John D. Rockefeller, stawali się symbolami epoki, w której kapitał potrafił zmieniać nie tylko krajobraz, ale również społeczną hierarchię.

Łódź nie była amerykańskim miastem. Nie miała politycznej swobody ani tych samych warunków gospodarczych. Pozostawała częścią rosyjskiego imperium i rozwijała się w odmiennych realiach społecznych. A jednak istniało między tymi światami uderzające podobieństwo.

Po obu stronach Atlantyku utrwalał się mit człowieka, który

własną energią i przedsiębiorczością może stworzyć fortunę. Mit awansu, samodzielności i nieograniczonych możliwości. W Ameryce przybrał on z czasem nazwę **American Dream**. W Łodzi była to **Ziemia Obiecana**.

Było też podobieństwo mniej romantyczne. W obu światach olbrzymim bogactwom towarzyszyły głębokie nierówności społeczne, ciężkie warunki pracy i konflikty między właścicielami fabryk a robotnikami.

*

Bawełna z Ameryki – nić łącząca kontynenty

Był jednak między Łodzią a Ameryką związek znacznie bardziej konkretny niż podobieństwo gospodarczych ambicji. Tym związkiem była bawełna.

Podstawowy surowiec łódzkiego przemysłu włókienniczego trzeba było sprowadzać z daleka. Jednym z jego głównych źródeł były Stany Zjednoczone, a zwłaszcza południowe stany, gdzie rozciągały się wielkie plantacje bawełny.

Teksas należał do regionów uczestniczących w tym międzynarodowym handlu. Bawełna trafiała do portów, przepływała Atlantyk, przechodziła przez ręce europejskich

kupców i pośredników, by ostatecznie zasilać fabryki kontynentu.

Łódzki przemysł był więc zależny od dostaw amerykańskiego surowca. Uświadomiła to boleśnie wojna secesyjna, która wybuchła w 1861 roku.

Blokada portów Konfederacji i przerwanie dostaw doprowadziły w Europie do tak zwanego głodu bawełnianego. Kryzys dotknął również Łódź. W styczniu 1862 roku zakłady Ludwika Geyera zaprzestały produkcji, między innymi z powodu braku surowca.

Trudno o bardziej wymowny obraz dziewiętnastowiecznej globalizacji. Od plantacji na amerykańskim Południu po fabryki Łodzi rozciągała się niewidzialna sieć ekonomicznych zależności, łącząca kontynenty, ludzi i ich losy.



Sobór św. Aleksandra Newskiego w Łodzi, wybudowany w latach 1879–1884 według projektu Hilarego Majewskiego, fot. Stevenlodz, Wikimedia Commons, CC BY-SA 4.0

*

Kolej, cerkiew i polityka wielkich fortun

Szybki rozwój przemysłu wymagał sprawnego transportu. Tymczasem Łódź przez długi czas pozostawała pozbawiona bezpośredniego połączenia kolejowego. Bawełnę, węgiel i

maszyny trzeba było przewozić wozami konnymi ze stacji znajdujących się poza miastem. Jednym z takich punktów były Rokiciny przy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Dla przedsiębiorców był to ogromny problem. Rozrastające się fabryki potrzebowały coraz większych ilości surowców, a wyprodukowane tkaniny musiały docierać do odległych odbiorców. Łódzcy przemysłowcy zabiegali więc o budowę linii kolejowej.

Dopiero w 1865 roku car Aleksander II zezwolił na połączenie Łodzi z Koluszkami. Wkrótce uruchomiono przewozy towarowe, a w następnym roku pasażerskie. Powstanie Kolei Fabryczno-Łódzkiej otworzyło nowy rozdział w gospodarczej historii miasta.

Nieopodal Dworca Fabrycznego stoi do dziś prawosławna cerkiew św. Aleksandra Newskiego, której bogato dekorowana bryła przypomina o czasach rosyjskiego panowania.

Jej powstanie wiąże się z politycznymi realiami epoki. W 1879 roku, po nieudanym zamachu na cara Aleksandra II, podjęto decyzję o wzniesieniu świątyni. Wśród fundatorów znaleźli się najbogatsi łódzcy przedsiębiorcy, między innymi Karol Scheibler i Izrael Poznański. Cerkiew, zaprojektowana przez Hilarego Majewskiego, została ukończona i poświęcona w 1884 roku.

W mieście, w którym spotykały się różne narodowości i religie, pieniądz często okazywał się językiem wspólnym. Ekonomiczny pragmatyzm potrafił przekraczać granice wyznaniowe i narodowe, nie znosząc jednak zależności politycznych ani społecznych nierówności.



„Ziemia obiecana” (1974), reż. Andrzej Wajda, materiały fotograficzne: WFDiF / 35mm.online

*

Ziemia obiecana – między biblijną nadzieją a złudzeniem bogactwa

Tytuł powieści Reymonta ma swoje źródło w Biblii. Ziemia

obiecana, Kanaan, była miejscem, ku któremu Mojżesz prowadził Izraelitów — symbolem nadziei, wolności i spełnienia Bożej obietnicy.

W dziewiętnastowiecznej Łodzi słowa te nabierają przewrotnego znaczenia.

Dla tysięcy przybyszów miasto miało być miejscem spełnienia marzeń. Nie trzeba było dziedziczyć wielkiej fortuny, by wyobrażać sobie, że któregoś dnia zostanie się fabrykantem. Wystarczyć miały odwaga, pomysłowość, wytrwałość i odrobina szczęścia.

Ale Reymont pokazuje, jak łatwo obietnica szczęścia zamienia się w pogoń za pieniądzem, a sukces w siłę niszczącą ludzkie relacje.

Bohaterowie powieści — Polak Karol Borowiecki, Niemiec Maks Baum i Żyd Moryc Welt — należą do trzech różnych światów kulturowych, lecz łączy ich jedno marzenie: założyć własną fabrykę i zdobyć majątek.

Ta przyjaźń i wspólne przedsięwzięcie stają się metaforą wielonarodowej Łodzi. Zarazem Reymont przedstawia miasto, w którym tradycyjne wartości stopniowo ustępują logice zysku. Honor, lojalność, miłość, a nawet ludzkie życie mogą stać się

elementami ekonomicznej kalkulacji.

Pisarz nie tworzy jednak prostego moralitetu o złych bogaczach i dobrych biednych. Jego bohaterowie są uwikłani w mechanizmy świata, który sami współtworzą. Pieniądz daje im wolność, ale jednocześnie coraz silniej ich zniewala.

To właśnie ten paradoks nadaje Ziemi obiecanej ponadczasowy wymiar.



„Ziemia obiecana” (1974), reż. Andrzej Wajda, materiały fotograficzne: WFDiF / 35mm.online. przed wejściem do dawnej fabryki Izaaka Poznańskiego.

*

Andrzej Wajda i jego adaptacja „Ziemi obiecanej”

Ponad siedemdziesiąt lat po ukazaniu się powieści do świata Reymonta powrócił Andrzej Wajda. Jego monumentalna ekranizacja, zrealizowana w 1974 roku, weszła na ekrany kin w lutym 1975 roku i stała się jednym z najwybitniejszych osiągnięć polskiej kinematografii. Film otrzymał nominację do Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego.

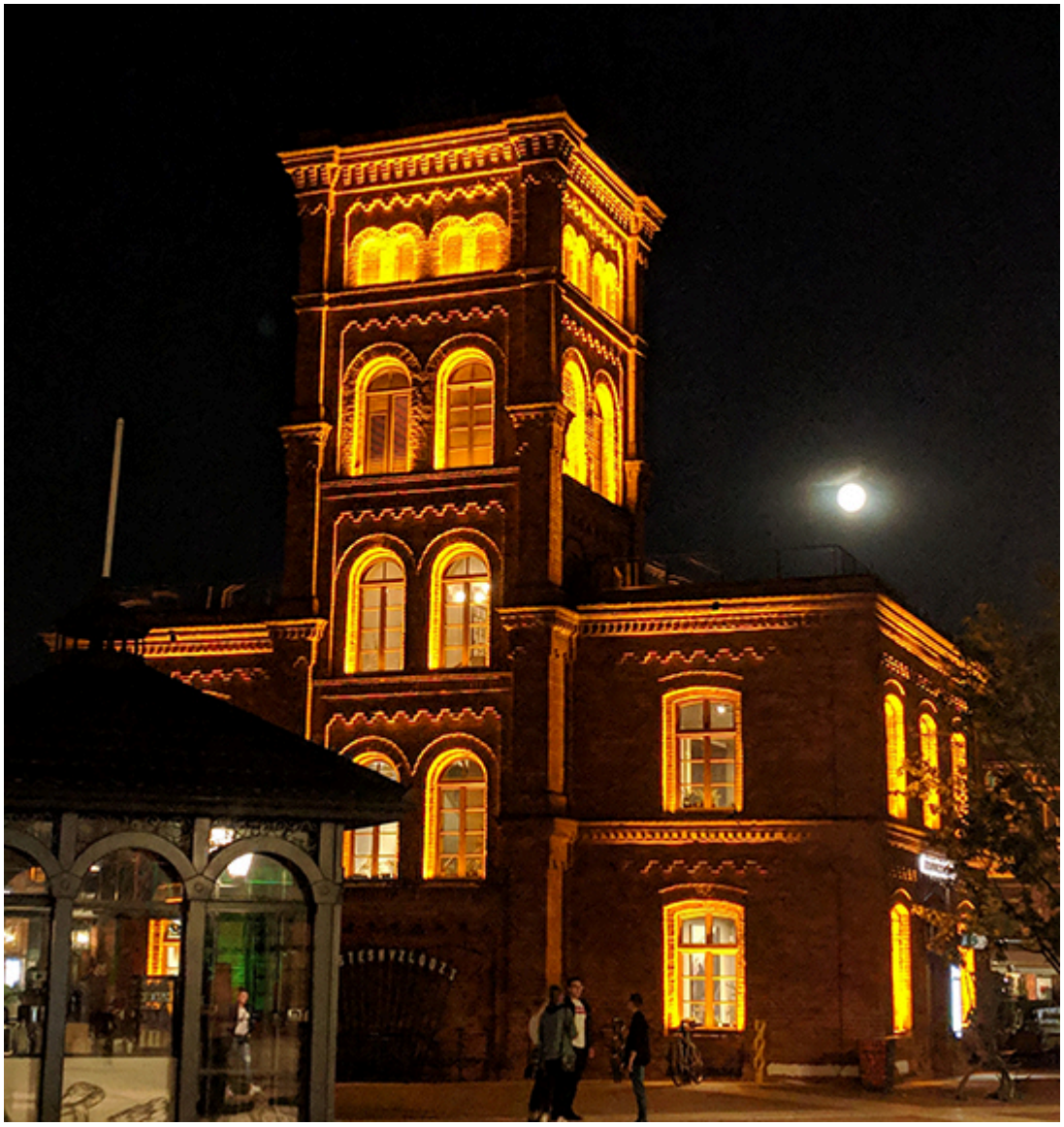
Daniel Olbrychski jako Karol Borowiecki, Wojciech Pszoniak jako Moryc Welt i Andrzej Seweryn jako Maks Baum stworzyli niezapomniane kreacje. Zdjęcia Witolda Sobocińskiego, Edwarda Kłosińskiego i Wacława Dybowskiego oraz muzyka Wojciecha Kilara nadały filmowi niezwykłą ekspresję. Łódź znów stała się jego pełnoprawnym bohaterem — miastem ruchu, hałasu, ognia, przepychu i ludzkiego cierpienia.

Wajda nie ograniczył się do wiernego przeniesienia literatury na ekran. Nadał opowieści własną interpretację, szczególnie widoczną w sposobie przedstawienia Karola Borowieckiego i w zakończeniu.

U Reymonta bohater, mimo moralnych kompromisów i zdobytego bogactwa, dochodzi ostatecznie do bolesnej refleksji nad zmarnowanym życiem. Dostrzega możliwość odnalezienia sensu w działaniu dla innych. W filmie Wajda odbiera mu tę

perspektywę moralnego odkupienia. Jego Borowiecki pozostaje człowiekiem podporządkowanym logice kapitału, a finałowa scena brutalnego stłumienia robotniczego protestu nadaje całej historii znacznie ostrzejszy wymiar społeczny i polityczny.

Wajda patrzył na XIX-wieczną Łódź także przez doświadczenia XX wieku, w tym przez pamięć robotniczych protestów i przemocy władz komunistycznych. Powstało dzieło, które nie tylko odczytywało na nowo powieść Reymonta, ale również mówiło o czasach współczesnych reżyserowi.



Manufaktura, obecny kompleks artystyczno-handlowy w dawnej fabryce Izaaka Poznańskiego, fot. Jacek Gwizdka

*

Artyści w pofabrycznych przestrzeniach

Dawna przemysłowa Łódź przeminęła, ale jej ślady wciąż są obecne w krajobrazie miasta. Monumentalne fabryki Scheiblera i Poznańskiego, pałace przemysłowców, robotnicze osiedla Księżego Młyna, kościoły, cerkwie i dawne synagogi

przypominają o czasach, kiedy miasto było jednym z najważniejszych ośrodków włókienniczych tej części Europy.

Dzisiaj dawne przestrzenie przemysłowe otrzymują nowe życie. W fabrycznych murach powstają muzea, galerie, uczelnie, mieszkania i miejsca spotkań. Łódź, która niegdyś produkowała tkaniny na ogromną skalę, coraz silniej buduje swoją tożsamość wokół kultury, sztuki, filmu i pamięci o własnej historii.

Można powiedzieć, że miasto po raz kolejny próbuje stworzyć własną ziemię obiecaną.

W powieści Reymonta pobrzmiewa pytanie, które nie straciło aktualności: czy człowiek rzeczywiście staje się szczęśliwszy, gdy osiąga wszystko, o czym marzył? Czy bogactwo oznacza wolność, czy może rodzi nowe zniewolenie? Czy wielki rozwój cywilizacyjny musi dokonywać się kosztem tych, którzy sami nie mają udziału w jego owocach?

Dylematy te łączyły dziewiętnastowieczną Łódź z amerykańskimi miastami przemysłowymi. I wciąż powracają wszędzie tam, gdzie ludzie wierzą, że sukces ekonomiczny stanie się odpowiedzią na wszystkie ich pragnienia.

Może właśnie dlatego „Ziemia obiecana” pozostaje dziełem tak żywym. Nie jest tylko opowieścią o dawnych fabrykantach,

kapitalizmie i Łodzi. Jest historią o ludzkiej naturze, o wielkości marzeń i o cenie, jaką jesteśmy gotowi zapłacić za ich spełnienie.

Artykuł powstał przy współpracy z ChatGPT (GPT-6, OpenAI) w zakresie wyszukiwania źródeł i weryfikacji informacji historycznych.

*

Zobacz też:

> 100-lecie Nagrody Nobla dla Władysława Reymonta za „Chłopów”

Źródła:

Archiwum Państwowe w Łodzi

Archiwum Państwowe w Łodzi – Łódzcy fabrykanci

Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi

Mit Łodzi jako Ziemi Obiecanej

Prawosławna Diecezja Łódzko-Poznańska

Historia łódzkiej parafii prawosławnej

Texas State Historical Association

Autorzy: Karen Gerhardt Britton, Fred C. Elliott, E. A. Miller.

Cotton Culture – Handbook of Texas

Texas State Historical Association

Autorzy: Jack Becker, Matthew K. Hamilton.

Wartime Cotton Trade – Handbook of Texas

Texas State Historical Association

Antebellum Texas – Handbook of Texas

National Park Service

Autor: Thomas Dublin.

Lowell: The Story of an Industrial City

National Park Service

The Mill Girls of Lowell

Władysław Stanisław Reymont, Ziemia obiecana, 1899.

Władysław Stanisław Reymont, Korespondencja 1890–1925, opracowanie i wstęp Barbara Koc, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2002, s. 208–209.

Dorota Samborska-Kukuć, „Reymonta osobiste i literackie spotkania z Łodzią", Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica, nr 1 (68), 2024.

Filmoteka Narodowa – Instytut Audiowizualny

Ziemia obiecana – FINA

Andrzej Wajda — oficjalna strona reżysera

Ziemia obiecana – Andrzej Wajda

Akademia Polskiego Filmu

Ziemia obiecana – Akademia Polskiego Filmu

Culture.pl

Kalendarium życia Andrzeja Wajdy

Żegnamy autora „Culture Avenue” – Adama Fialę (1940-2026) –

polskiego artystę w Australii

8 sierpnia 2026, w Perth w Australii odszedł Adam Fiala – malarz, rysownik, grafik, pisarz, poeta i artysta emigracyjny. Wyrazy współczucia dla żony Anny i syna Andrzeja.

*



Adam Fiala, akwarela

Urodził się 30 października 1940 roku w Lublinie, w Halloween. W Polsce nikt o tym święcie wtedy nie wiedział. Adam cieszył się więc, że jego urodziny nie przypadły 1 listopada w Święto Zmarłych lub w Dzień Zaduszny dnia następnego. Jednak Halloween wywarło wpływ na każdą dziedzinę jego twórczości – pisarstwo, sztukę i muzykę.

W dzieciństwie rysował i malował głównie lokomotywy parowe, którymi był zafascynowany. Lokomotywa kojarzyła mu się z potężnym zwierzęciem, obdarzonym niewyobrażalną energią. On sam się do dziś czuje, jak taka pełna energii lokomotywa. Miał przerwy w uprawianiu trzech rodzajów twórczości, ale na przekór właśnie te przerwy wydatnie pomogły w jego dalszym rozwoju.

Skończył prawo i dobrze sobie radził jako radca prawny w terenowych jednostkach w Spółdzielni Samopomoc Chłopska. Unikał prac ambitniejszych, np. w międzynarodowym handlu, w którym brała udział Polska, żyjąca w tzw. rozwiniętym socjalizmie, który potem zaczął się zwijać.

Jego pierwsza emigracja to wyjazd do Warszawy. Malował wtedy głównie fantazyjne architektury, które sprzedawał na Zachód właśnie za pośrednictwem Desy – Biura Handlu Zagranicznego.

Stan wojenny w Polsce przeciął jego życie na pół. Druga połowa

też okazała się interesująca, bo zaprowadziła go do Australii…

Nazwiska, które go w sztuce szczególnie fascynowały to Nikifor, Van Gogh i Picasso. Tak jak ten ostatni, potrafi namalować i narysować wszystko, od obrazów z fantazji, przez kompozycje abstrakcyjne, do portretów i pejzaży, które lubił ze względu na przyrodę australijską. Wypracował sobie własny styl w trzech dziedzinach twórczości.

Współpracował z Wydawnictwem „Miniatura”, miesięcznikiem internetowym „Polska Canada” oraz internetowym magazynem kulturalnym „Culture Avenue”.

Skomponował około 300-tu piosenek.

Oto jedna z nich. I tak go zapamiętajmy:

*

Materiały o Adamie Fiali na „Culture Avenue” – wirtualne wystawy prac, wywiady, teksty literackie:

> Adam Fiala. Artysta niepokorny.

Moje Australijskie Noce i Dnie

Adam na Księżycu. O polskiej przeszłości i literaturze z perspektywy australijskiej.

Cień Wielkiej Góry

Jazz romantyczny

Nauczyciel muzyki

Adam Fiala. Turpizm australijski.

Adam Fiala – wiersze i rysunki

Australijskie noce i dni Adama Fiali

Prace Adama Fiali na Festiwalu Sztuki Naiwnej w Katowicach

Wystawa prac Adama Fiali w Domu Polonii w Krakowie

Polscy artyści z Australii – Anna, Adam i Andrzej Fiala

Spotkanie z okazji 40-lecia Debiutu Twórczego Anny Marii Mickiewicz w Lublinie



*

Dr Irena Kulik

Czwartkowe popołudnie 21 maja 2026 roku w galerii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie pod patronatem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich/ Oddział Warszawa, upłynęło w miłej i niepowtarzalnej atmosferze, pełnej łagodnego słowa poetyckiego Anny Marii Mickiewicz. Uroczystość z okazji 40-lecia Debiutu Twórczego z pochodzenia Lublinianki, z wyboru

– mieszkanki Londynu poprowadził Grzegorz Józefczuk, natomiast dr Tomasz Niedokos z Katedry Literatury i Kultury Angielskiej w Instytucie Literaturoznawstwa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II przybliżył „Angielskie aspekty poezji Anny Marii Mickiewicz". Filozofka Halina Rarot, dr hab. nauk humanistycznych, profesor nadzwyczajny Katedry Metod i Technik Nauczania Wydziału Podstaw Techniki Politechniki Lubelskiej wyjaśniła filozoficzne wątki w liryce Poetki ze skupieniem uwagi na spojrzenie na świat pod kątem Sokratesa.

Ciepłe, pełne barw oraz refleksji utwory z najnowszego zbioru „Równoległości/Parallelism" wybrzmiały w wykonaniu Autorki w języku polskim, natomiast po angielsku przeczytał je dr Tomasz Niedokos. W zaprezentowanych wierszach poruszono temat osób samotnych, które muszą odnaleźć się w codziennej egzystencjalnej rzeczywistości, jak młody emigrant z Polski w Wielkiej Brytanii na co dzień sprzedający ekologiczne warzywa w utworze „Anioł w Londynie", czy stolarz Stanisław, renowator w Muzeum na Majdanku w Lublinie. Nieobcy jest również temat przemijania w wierszu „kawa ze wzgórz nad Berkeley ", gdzie osobą warto nacieszyć się jak dobrą rozpuszczalną kawą wspominając San Francisco. Natomiast każda wiosna z budzącą się wielobarwną przyrodą daje nadzieję jak w utworach Emily Dickinson, których nutą są nasiąknięte wiersze Anny Marii Mickiewicz. Zapreentowane zostały również dwa

okolicznościowe listy wystosowane na tę uroczystość przez prof. Kazimierza Brauna z USA i brytyjskiego twórcy, redaktora magazynu literackiego „The Exiled Writers Ink” Davida Clarka. W przemówieniu z okazji Jubileuszu Anny Marii Mickiewicz, Lublin maj 2026 r., dr David Clark podkreślił: “To, co naprawdę podziwiam w Annie, to jej przystępność, głęboka troska o wszystkich ludzi, których spotyka oraz chęć angażowania wielu z nich w każdy projekt, w którym się zajmuje. Anna uosabia to, co uważam za kwintesencję bycia *ambasadorem kultury*.”



*

Natomiast w Liście Profesora Kazimierza Brauna z USA do uczestników spotkania poświęconego 40-leciu debiutu

literackiego Anny Marii Mickiewicz Autor podkreśla: “W Lublinie miała swoje gniazdo rodzinne Anna Maria Mickiewicz. Wyfrunęła z niego, jako pisarka już dojrzała, najpierw do Kalifornii, a następnie osiedliła się w Londynie. Ale właśnie tam, nad Tamizą, wijąc nowe gniazdo, powróciła myślą i wspomnieniem do tego pierwszego, zakotwiczając w nim jakby poetycką linę poręczową, taką, jaką rozpinają i umocowują w dwóch miejscach, taternicy, alpiniści, himalaiści. Ta lina pomaga jej odnajdywać swą ścieżkę w świecie nowych zadań i wyzwań, nowych ludzi i spraw, a nade wszystko własnej, narastającej, pęczniejącej i obficie owocującej, twórczości poetyckiej.”

W puencie spotkania miłym akcentem była prezentacja fotografii oraz filmów, które ukazały urok wiosennej natury Wielkiej Brytanii z podkładem angielskiej muzyki klasycznej Henry’ego Purcella. Nie zabrakło pytań o początki drogi twórczej oraz lubelskie dzieciństwo, młodość i zamiłowanie do literatury i filozofii, które narodziły się po sięgnięciu po lektury szkolne i dzieła Władysława Tatarkiewicza. Popłynęły również wyrazy wdzięczności zaproszonych gości w osobach przyjaciół z dzieciństwa, znajomych, miłośników twórczości, grona wykładowców z lubelskich uczelni, a szczególnie Politechniki Lubelskiej, Ambasadora Andrzeja Jaroszyńskiego i dyrektora WBP im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie Andrzeja Rolli.



*



*

Fotografie z Jubileuszu Anny Marii Mickiewicz w Lublinie, fot. arch. jubilatki

Anna Maria Mickiewicz – *poetka, tłumaczka i wydawczyni, urodzona w Lublinie, od lat związana z Londynem. Założycielka oficyny Literary Waves Publishing, tworzy w języku polskim i angielskim, publikując w wielu krajach świata, m.in. w USA, Wielkiej Brytanii, Australii i Europie. Jej tomy poetyckie były tłumaczone na liczne języki, a twórczość prezentowana była na międzynarodowych festiwalach oraz w prestiżowych instytucjach, w tym w Parlamencie Brytyjskim. Jest laureatką*

wielu nagród i wyróżnień, w tym Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” oraz Krzyża Wolności i Solidarności. Jej działalność obejmuje nie tylko twórczość literacką, ale również aktywne uczestnictwo w życiu kulturalnym i naukowym – zasiadała w jury międzynarodowych konkursów literackich oraz współtworzyła projekty promujące literaturę i dialog międzykulturowy. Członkini m.in. English PEN, Polskiego PEN Clubu, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Jej twórczość łączy refleksję filozoficzną z wrażliwością na współczesność, budując pomost między kulturami i językami.



Oczy jak pięć złotych. Moja Ameryka.



Fot. ChatGPT

Piotr Maskos *(Oleśnica)*

Rok 1978 i okolice. W mlekiem i miodem płynącej krainie

środkowego PRL-u — bo chyba każdemu z nas kraina dzieciństwa płynie mlekiem i miodem — istniał legalny środek płatniczy znany jako „pięciozłotówka z rybakiem”. Była to moneta słusznej wielkości, niepokojąco jednak lekka, albowiem wykonana z „amelinium”. Materiał był nieco „miętki”, a wizerunek rybaka — poorany bruzdami zużycia, powycierany na wszystkie strony — nieubłaganie zanikał. To był słaby pieniądz. Stanowił jednak przedmiot pożądania blokowej dzieciarni, która mogła wymienić go na pudrowe draże, mleko w tubce, długaśne chrupki kukurydziane albo dmuchany ryż. Niebagatelny rozmiar monety mógł być przyczynkiem do powstania powiedzonka „mieć oczy jak pięć złotych”, co oznaczało zadziwienie podszyte zachwytem, ale nierzadko przerażeniem bądź zażenowaniem.

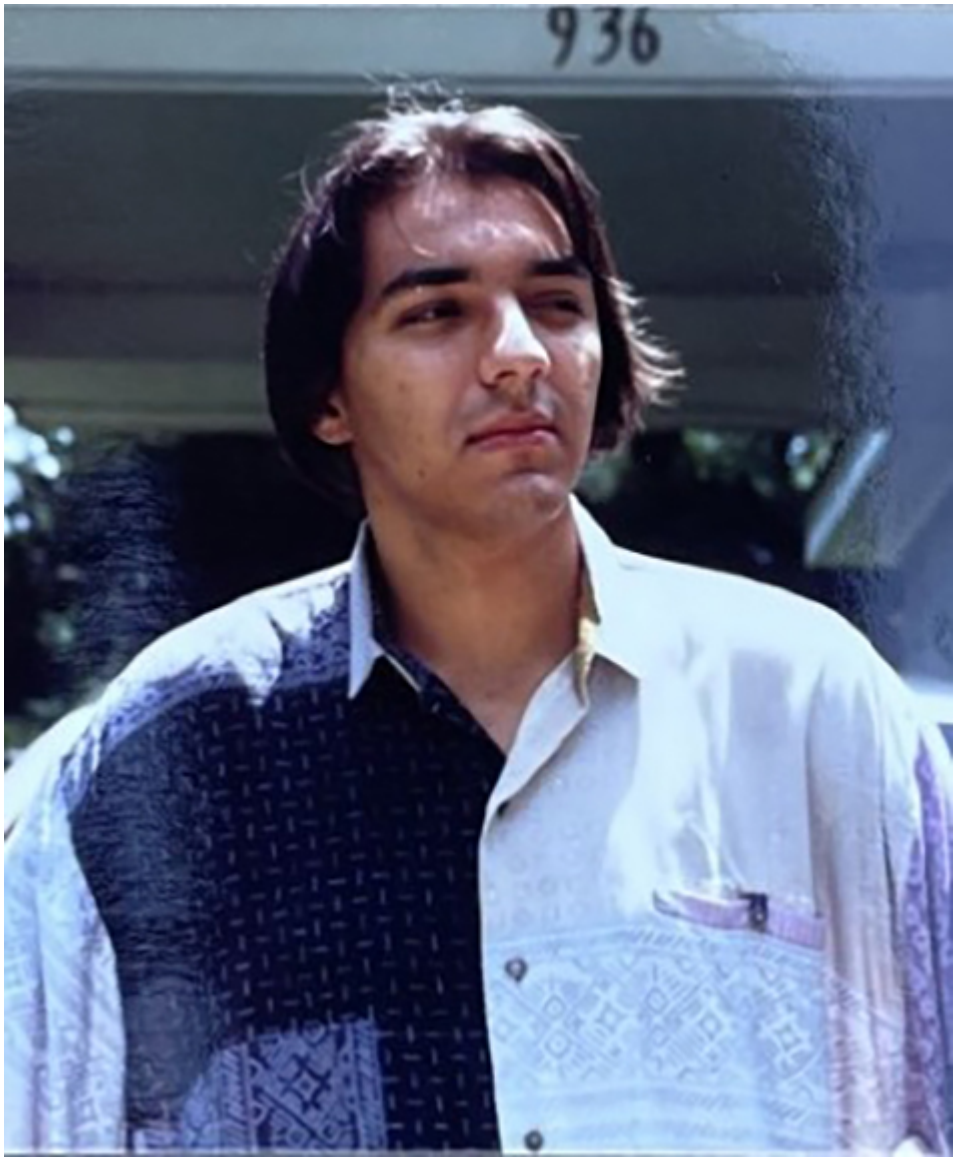
Rok 1985. Staję jako piętnastoletnie dziecię po raz pierwszy na amerykańskiej ziemi. To oczywiste i naturalne, że z miejsca robię oczy jak pięć złotych. Nie te z rybakiem, dużo większe. Łaskawy los rzuca mnie od razu na centralny Manhattan. Zachwyt jest prawdziwy. MoMA, Empire State Building, Times Square, kultowe kluby jazzowe na 42. ulicy (tu mnie nie wpuszczają), i wreszcie Tower Records (stąd to ja odmawiam wyjścia). „Prawdziwa Ameryka tak nie wygląda” – ojciec napomyka ostrzegawczo. Wspomina też mimochodem, jakie cechy charakteru powinienem posiadać, aby osiągnąć tutaj sukces. Gdzieżbym słuchał…

Po tygodniu tej olśniewającej zacofaną bida-młodzież turystyki trafiam do średniej wielkości miasta w jednym ze stanów najgłębszego Południa. Jest tu duży uniwersytet, na którym moi rodzice są pracownikami naukowymi. Jest też — niestety, od razu i nieubłaganie — początek roku szkolnego. Następnego dnia po przyjeździe jadę już żółciutkim school busem do szkoły, wraz z ojcem, który wprasza się tam ze mną pomimo stanowczego zakazu kierowcy. Jego apel do sumienia w końcu skutkuje: wkurzony kierowca macha ręką, ale takich rzeczy się nie robi. Nagięliśmy system. Nie po raz ostatni. Z tyłu autobusu lecą ostre podśmiechujki. Zaczynam fatalnie. Na wszelki wypadek uznaję, że właśnie zrobiłem zerowe wrażenie. Bo pierwsze robi się tylko raz.

Jako nowy uczeń dostaję do wypełnienia ankietę. Mam z nią problem językowy, więc zabieram ją do domu. Jedno z pytań brzmi trochę dziwnie: „Czy często czytasz swoim rodzicom?” Sięgam pamięcią. Noooo, były takie sytuacje – jakieś dowcipy w gazetach, trafione w punkt fragmenty artykułów, recenzje tego i owego. Czasem się to czytało na głos ku uciesze domowników. Więc chyba odpowiem: „Tak”. Zasięgam opinii ojca. On też nie wie, o co chodzi, ale po chwili spływa na niego oświecenie. Twórcy ankiety w ten elegancki i niezmiernie cwany sposób zadają *de facto* pytanie: „Czy twoi rodzice są analfabetami?” To jednak odpowiem, że nie czytam.

Kraj, w którym się znalazłem, ćwiczy sztukę asymilacji przybyszów od dwustu lat. Ten trening uczynił mistrza. Z miejsca zostaję – jak po sznurku – wciągnięty w machinę. Proces odbywa się szybko i sprawnie. Oprócz zwykłych lekcji mam dodane w grafiku zajęcia dla dzieci specjalnej troski lingwistycznej, czyli ESL (English as a Second Language). W klasie — zbiorowisko podobnego mi narybku świeżych imigrantów. Nie ma w ogóle takiej opcji, że ktoś jest obcy i nie jest imigrantem. Nikt tu nie przyjechał trochę pobyć ani na wakacje. Stąd się nigdzie nie wraca. Takie zwierzę nie istnieje. Można co najwyżej nie być uchodźcą. Młodzi imigranci pachną jeszcze trochę swoimi krainami. Liczebnie dominują Ameryka Środkowa, Iran oraz Wietnam. To te regiony i kraje są tu teraz na emigracyjnym topie. Często były to kraje, w których Ameryka wspierała obalone już rządy, a osoby z nimi związane musiały salwować się ucieczką. Zajęcia ESL, prowadzone przez pulchną, empatyczną Kubankę, to w mojej sytuacji błogosławieństwo. Na tacy podano mi nowych kolegów. Oni też uczą się angielskiego i są w takiej samej sytuacji jak ja. Bywa, że nowo przybyli nie mówią słowa po angielsku. Niektórzy są przerażeni. Siadają w kącie. Spuszczają głowy. Próbują znikać. Kubanka wyłuskuje ich i wspiera. Ja też lgnę mocno do tej pomocy. Po kilku dniach umawiam się z moim nowym meksykańskim kolegą na tenisa. System działa. Pewnego dnia Kubanka robi cykliczną pogadankę i tłumaczy, jakie cechy charakteru należy przejawiać, aby osiągnąć tutaj sukces. Czyta je z kartki, żeby się nie pomylić.

Po latach widzę jednak pułapkę systemu ESL, choć nadal nie widzę dla niego alternatywy. System ten wtłoczył mnie w „paradygmat imigracyjny”. Rozsiadłem się w nim wygodnie. Ograniczyło to moje kontakty z rdzennymi Amerykanami (nie, nie mam na myśli Apaczów), ponieważ ich nie wymusiło. Nie żeby oni rwali się do kontaktów ze mną. W Stanach jest tylu obcych, że nie stanowią oni żadnej atrakcji dla nikogo. Wręcz przeciwnie. ESL było pomocną dłonią na początek. Takie zagospodarowanie zagubionej duszy, wyciągnięcie z głębokiego dołu, trampolina do przyszłości. Oczekiwano, że z upływem czasu każdy poradzi sobie sam.



Piotr Maskos, fot. arch. autora

Rok 1986. Trochę to trwało, ale w końcu dociera do mnie, że z turysty na dobre zamieniłem się w imigranta, i to nawet – jak się później okaże – politycznego. Mówi się, że pierwsze pokolenie imigrantów ma zawsze rozdarte serce. Idzie na straty, bo za dużo w nim ojczyzn. Aby ratować samopoczucie, wmawiają sobie, że poświęcają się dla dzieci. Cierpią dla bezspornie słusznej sprawy: przyszłego materialnego dobrobytu dzieci.

Obserwując rodziny kolegów z zajęć ESL oraz lokalną Polonię

skupioną wokół kośc…, a właśnie, że nie, bo uniwersytetu…, miałem okazję doświadczyć całego wachlarza zachowań imigrantów. Teraz, po latach, ocenę celującą w kategorii „profesjonalny wzorowy imigrant” przyznałbym młodej parze Polaków, która przybyła z dzieckiem w wieku szkolnym. Postanowili całkowicie wytrzebić z siebie wszelkie zaszłości dawnego kraju. Szerokim łukiem omijali Polonię. W domu z własnym dzieckiem mówili wyłącznie po angielsku. Uczyli się prawdziwego języka ulicy od własnego dziecka, wysłanego do szkoły. W tamtych czasach polskiej emigracji nierzadko towarzyszyła desperacja podszyta jakby irracjonalną, wmówioną sobie nienawiścią do polskości, jakimś bezpodstawnym wstydem.

W mojej szkole średniej około 45 procent uczniów stanowią Afroamerykanie. Jej patronem jest generał Robert E. Lee. To wybitna postać historyczna, głównodowodzący wojsk Konfederacji w wojnie secesyjnej. Wojnę wygrała Północ (The Union), więc jako zwycięzca dostąpiła prawa i zaszczytu opisania jej przebiegu dla przyszłych pokoleń Amerykanów oraz reszty świata. Dominującą narracją tego opisu jest wyzwolenie niewolników. Północ, ucieleśniona przez republikanina Lincolna, nie bacząc na własne straty, przyniosła uciśnionym czarnym masom sztandar wolności. Biali Południowcy do dziś za bardzo tego nie kupili. Po latach drobnym pocieszeniem wydaje się możliwość uhonorowania przywódców przegranej sprawy. Miejscowości, ulice i szkoły nazywane są imionami wojennych

bohaterów Konfederacji. Ten temat jest soczyście niuansogenny. Po pierwsze, jak czuli się świadomi Afroamerykanie, chodząc do szkoły nazwanej imieniem człowieka, który de facto walczył, aby ich przodkowie pozostali niewolnikami? Po drugie, zastanawiam się, czy pewne polskie postacie historyczne, kontrowersyjne i powiązane z niejako przegranymi i wątpliwymi sprawami, miałyby szansę na taki honor w Polsce przy milczącej akceptacji społecznej. Dekomunizacja nazw rozpoczęta w latach 90. przebiegała raczej bez protestów. Czy któraś z tych wygumkowanych wtedy osób ma szansę powrócić? Po latach historia, pobudzona przez ruchy „woke", scancelowała – mówiąc politycznie poprawną nowomową – generała Lee i 16 lipca 2020 roku, po kilku miesiącach pyskówek w różnych urzędach, oficjalnie zmieniono nazwę szkoły na Liberty High School. Lee-berty… Cwane.

Minął rok. Przeżyłem trudny początek. Jakoś uczestniczę w życiu szkolnej społeczności. Na klasówkach podrzucam co fajniejszym dziewczynom rozwiązania zadań z przedmiotów ścisłych. Są mocno zaskoczone, bo tu nikt nikomu tak nie pomaga. Taka pomoc jest nieetyczna. No jest, ale ja tego wtedy nie wiem. Poprawną ścieżką podrywu byłaby randka w bibliotece, połączona naturalnie z darmowymi korepetycjami. Dziewczyny jednak się cieszą i proszą o więcej. No problem. Zostałem takoż deprawatorem tej pięknej, uczciwej młodzieży. Dołączam do szkolnej drużyny piłki nożnej. Aby zarobić na ekwipunek,

miesiącami snuję się po szkole z wielką torbą Twixów i Snickersów. Biznes idzie świetnie. Młodzież żre cukier na potęgę, bo przecież cukier krzepi. Na koniec sezonu zajmujemy drugie miejsce w rozgrywkach stanu Luizjana. Wykorzystując wiedzę zdobytą jeszcze w polskim liceum, biorę udział w olimpiadach z matematyki i chemii. Wygrywam to i owo na poziomie lokalnym. Zresztą większość dzieci po szkołach polskich radzi sobie tutaj znakomicie.

Pewnego dnia zostaję poinformowany, że dzisiaj zamiast WF-u nauczą mnie jeździć samochodem. Od razu wyjeżdżamy na ulicę. Tu nie ma chodników i pieszych, więc nikogo nie rozjadę. Dwie takie lekcje w szkole, krótki test teoretyczny w urzędzie (trzeba wykuć drogi hamowania w stopach przy szybkości w milach na godzinę), następnie test praktyczny, czyli objazd kilku przecznic trwający raptem jakieś osiem minut. Bez strat w sprzęcie i infrastrukturze ulicznej — czyli zdałem. Aha, jeszcze całe dwanaście dolarów opłaty — i prawo jazdy jest moje. Po powrocie do Polski wkraczam pewnym siebie, zamaszystym krokiem do urzędu komunikacji i z pokerowym wyrazem twarzy wymieniam je na polskie.

Rok 1987. Za szerzenie niezmiernie przygnębiających wierszy pewnej współczesnej angielskiej poetki zostaję wezwany przed oblicze szkolnej pani psycholog. Ta, skrzętnie notując, co mówię, dobrodusznie wypytuje o źródło tych niecnych treści i wyjaśnia,

że w życiu należy być wesołym, a nie smutnym. Potem dowiaduję się, że istnieje ruch rodziców, wspierany przez szkoły i grona pedagogiczne, stawiający sobie za cel ograniczanie młodzieży dostępu do niewłaściwych treści. A ja się wygadałem i to bez tortur, skazując angielską poetkę na medialny niebyt. Na szczęście i tak już była w nienajlepszym nastroju.

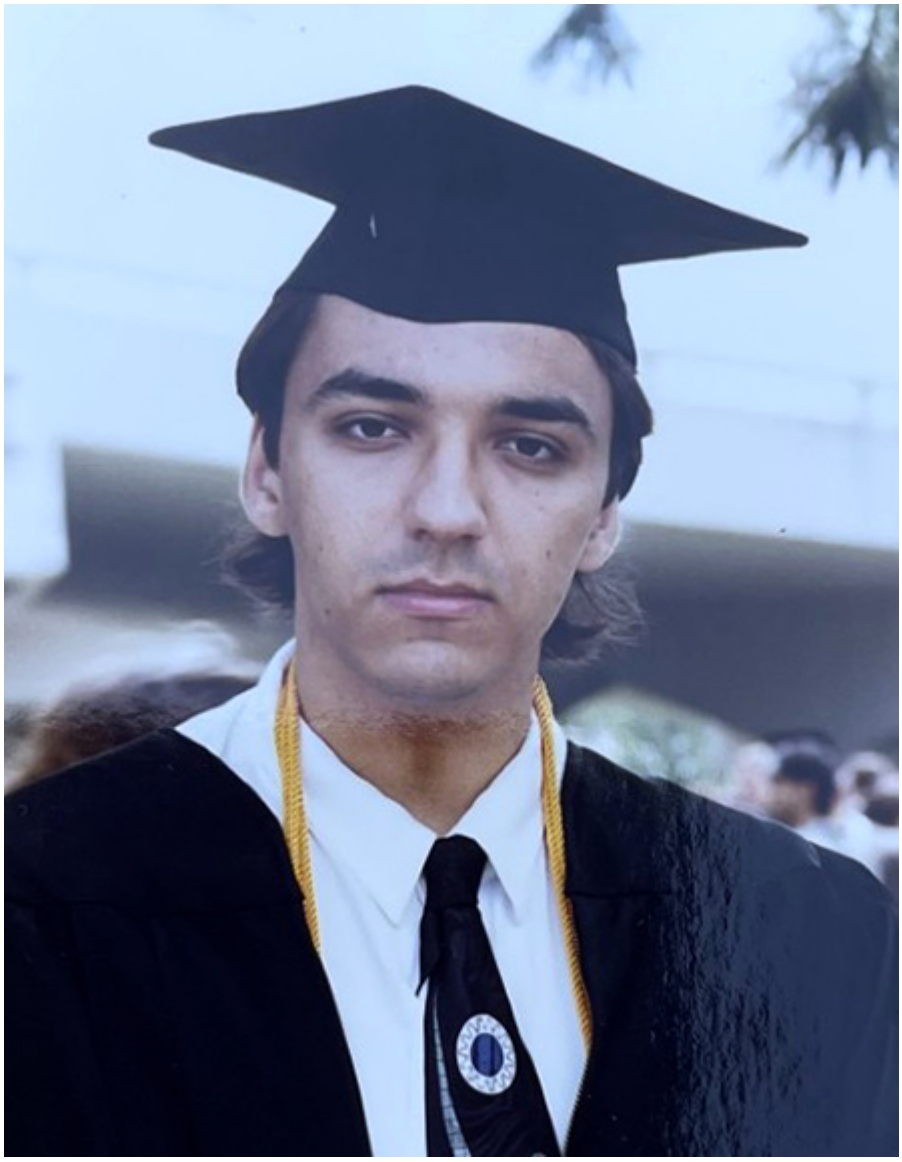
Przy innej okazji wzywa mnie pan dyrektor całości i zapytuje, czy to ja kolportuję po szkole pornografię. Podczas krótkiej rozmowy pada klasyczne pytanie o bycie komunistą. Bożeż ty mój, kiedy przylgnęła do mnie etykieta wywrotowca? Nad dyrektorem wisi portret McCarthy'ego, który zerka na mnie srogo. Makkartyzm wiecznie żywy. Notuję, że w tym stanie jeszcze nie wiedzą, że jest on już trochę passé. Tłusty dyrektor, zadając swoje pytania, trzyma nogi na biurku. Scena jak z filmu. Z filmu… Postanawiam uciekać. Wybiegam z gabinetu, dwóch typów z FBI czeka już z kajdankami. Pierwszy dostaje kopa i wypuszcza kajdanki, które lecą po podłodze. Drugi podejmuje pościg i natychmiast wypierdziela się na nich. Mam 15 jardów przewagi. Biegnę po przyłożenie. Wybiegam ze szkoły. Wszystko wyje na czerwono-niebiesko. Święto czwartego lipca!? No nie, wtedy są wakacje. Te wspaniałe, błyskające światła to policja. Jest też straż pożarna, ambulans i lokalna TV. Koledzy tłoczą się daleko za barierkami policyjnymi i trzymają transparenty z lewackimi hasłami. Machają do mnie. Facet ukryty za samochodem mówi przez megafon, że jak od razu się poddam, to mnie deportują

tam, skąd przyjechałem. Tak, tak! Ale nie. Nie mogę tego zrobić starym. Pryskam w dżunglę, która rośnie przy szkole. Tam jeszcze nigdy nikogo nie odnaleźli. Słychać wycie syren i strzały. Na mokradłach bayou odpływam w zachód słońca na grzbiecie aligatora. See you later, alligator! Napisy końcowe. Następnego dnia moi czarni bracia przybijają mi piątki i z uznaniem w oczach mówią, że nie wiedzieli, że jestem taki „bad madafaka, bro".

Aby poczuć się lepiej, poczynam tworzyć analizy socjologiczne. Mają przedstawić mnie sobie w lepszym świetle. Bacznie obserwuję otoczenie i wyciągam wyłącznie niewłaściwe wnioski. Jeżeli w Polsce, aby zaistnieć w grupie, trzeba było jakoś wyróżnić się na jej tle, to mam wrażenie, że tu jest odwrotnie. Istnieje jakiś pęd do wtopienia się. Idealizuję własną wyjątkowość. A być może otaczająca mnie apologia konformizmu miała głęboki sens dla społeczeństw już nieco osiadłych, nienękanych konwulsjami wojen, przewrotów, rewolucji, gułagów, migracji ludności tam i nazad. Po prostu to była normalność przekazywana kolejnym pokoleniom jako zestawy stałych, sprawdzonych wartości. Nie robimy rewolucji, kiedy wszystko jest OK. A jest OK, bo nikt z zewnątrz nam nic nie każe. Sami się urządzamy tak, jak chcemy. To jest nasze i już. Ewoluujemy nienękani. Dlaczego buntować się przeciw temu? Nie rozumiałem tego wtedy.

Zauważam wyraźny trend antyintelektualny. Dotyczy on w

zasadzie całego społeczeństwa, jest jawnie propagowany przez media i kulturę głównego nurtu. Ten trend rodzi dwie niesympatyczne cechy, o które Amerykanie jako naród oskarżani są (i obśmiewani) na całym świecie. Może te oskarżenia też leczą czyjeś kompleksy, ale nie można się nad nimi nie pochylić. Pierwszą cechą jest ignorancja, czyli stosunkowo niewielka wiedza na temat otaczającego świata, tego poza Stanami. Świat oczekuje od Amerykanów — ponieważ ich kraj osiągnął niebywały sukces — pewnej świadomości, z pewnością większej od przeciętnej. Według wizji ignoranta świat podzielony jest na Amerykę (co na to pozostali mieszkańcy tego kontynentu?) i resztę krajów, stanowiących zlepek zamieszkiwany przez dzikich i terrorystów. Rdzeniem angielskiego słowa ignorance jest „ignore", a więc to nie jest zwykła niewiedza. To wręcz świadome jej niepozyskiwanie z otoczenia, ignorowanie jej właśnie, ochocze przyzwolenie sobie na tę niewiedzę. A premedytacja to już grzech. Ten antyintelektualizm to temat dla socjologów albo psychiatrów… Ignorancja rodzi drugą cechę: arogancję. Taki nieco paternalistyczny stosunek do reszty świata. Bo skoro USA to „the greatest country in the world", to wszystkie pozostałe są mniej „great". To logiczne.



Piotr Maskos, graduation, Louisiana State University, Baton Rouge, 1992 r., fot. arch. autora

Rok 1988. W ostatnich semestrach szkoły średniej podchodzę parę razy do testów ACT i SAT. Są to testy, które można zdawać kilka razy. Liczy się najlepszy wynik. Na ich podstawie następuje kwalifikacja na studia i przyznawane są ewentualne stypendia na studia w drogich uczelniach prywatnych. Na SAT zdobywam maksymalną liczbę punktów z matematyki i około 70 procent z angielskiego. Rodzice triumfują. Ja jestem załamany. Tłumaczę im, że gdyby egzamin był po polsku, to i z angielskiego, znaczy

polskiego, miałbym 100 procent. Wykładam się na znajomości rzadkich słów, które istnieją chyba tylko po to, aby umieszczać je w tych testach. Ta przeszkoda jest dla mnie nie do przeskoczenia w tak krótkim czasie. Musiałbym od lat nasiąkać nimi w domu rodzinnym, dużo więcej czytać po angielsku i to rzeczy specyficznych, napisanych górnolotnym, trudnym językiem. Zostałem odsiany.

Rok 1989. Pod koniec tego roku cała rodzina dostaje zielone karty. Oficjalną podstawą jest udzielenie nam azylu politycznego. To piękny gest, bo w Polsce zagraża nam reżim komunistyczny, którego urzędującym premierem jest ten niesławny krwiożerczy aparatczyk Tadeusz Mazowiecki. Są takie chwile, gdy koła historii toczą się szybciej niż dyrektywy urzędnicze.

Na kampusie jest kino studenckie, gdzie oprócz copiątkowego obowiązkowego „Rocky Horror Picture Show" grają filmy bardziej niszowe, a nawet, o zgrozo, takie z napisami po angielsku. Pewnego wieczoru w tym siedlisku zła i wrogich nam ideologii puszczają niemiecki film w reżyserii Wima Wendersa, którego oryginalny i również polski tytuł brzmi „Niebo nad Berlinem". Tu film niemiecki to prawie jak polski. Dystrybutorzy amerykańscy przezornie zmieniają tytuł na „Wings of Desire", chcąc być może uniknąć skojarzeń wojennych. Wychodzę z kina odmieniony. Coś we mnie kliknęło. Rzecz jest o aniołach, którzy postanawiają zstąpić ze swych niebiańskich superpozycji do

twardego życia nieustannie obserwowanego przez nich na dole, a przy okazji doznać ludzkich przeżyć i emocji. Formalnie to ich upadek, dający jednak nadzieję na dużo ciekawszą, choć znacząco krótszą egzystencję. Tak, ten film zaprawdę przemówił do mnie „językami aniołów”. Siedzę pod kinem i czuję, że właśnie zrobiłem ten „time warp”, o którym drą się w „Rocky Horror”. Czuję, że stało się coś fenomenalnego. Jeszcze nie wiem co, jeszcze muszę to sobie uporządkować, ale nie jestem już zawieszony w nicości. Osiadłem i stąpam po twardym gruncie. Nigdy później żadne dzieło kultury ani sztuki nie będzie miało większego wpływu na moje życie.

Zostaję pilnym studentem. Rzadko wychodzę z domu. Oglądam „Hair” i Woodstock. Czytam Kerouaca i Salingera. A potem wychodzę na ulicę i coś tu mi (dosłownie) nie gra. Potem mnie oświeca. Przecież w filmie było wyraźnie pokazane, że hipisi mieszkają w Central Parku. Jest ich może w sumie pół setki i zarabiają na życie, grając hipisów w filmach o hipisach. Bohaterowie Kerouaca siedzą w areszcie. Ci od Salingera dawno przedawkowali. McMurphy pozostaje niezmiennie uduszony przez Indianina. Wolny duch to bajka Hollywood. W tym kraju rządzi protestancki etos pracy. Swym stanem niepokoję bliskich. Coraz częściej słyszę w domu namowy do zmiany i instrukcje o tym, „jakie cechy charakteru…”.

Rok 1991. Nirvana nagrywa „Smells Like Teen Spirit”.

Bossowie przemysłu muzycznego postanawiają, że to w tym roku alternatywa stanie się mainstreamem. Nie wszystkim muzykom wyjdzie to na dobre. Dla mnie już też jest za późno. Ekstrapoluję wszystkie możliwe ścieżki wydarzeń. Startując z miejsca, w którym stoję, żadna nie prowadzi mnie tam, gdzie chciałbym być. Może mam za słabą wyobraźnię. Może stoję w złym miejscu.

Gorący i parny wiosenny weekend. Jedziemy na coroczny New Orleans Jazz & Heritage Festival. Festiwale na świeżym powietrzu nie mogą odbywać się tu w lecie. Nikt by tego upału nie wytrzymał. Ojciec ma uśmiech od ucha do ucha. Chyba coś knuje. Na miejscu — tłumy. Parkujemy daleko i przedzieramy się w stronę scen. Po drodze na każdym rogu grupy muzyków – lokalnych i przyjezdnych – łączą się spontanicznie w pięciominutowe zespoły. No tak, jazz to improwizacja. Wokół wszyscy tańczą i bawią się. Absolutnie najwspanialsza atmosfera, jaką można sobie wyobrazić. Tak wygląda niebo tych, którzy kochają muzykę. Przy jednym z namiotów tłum jakby większy. Na scenie człowiek w wielkich okularach i długim kolorowym chałacie. To trębacz. Stoi nieruchomo, jakby zastygł, ale jego zespół daje z siebie wszystko. Ma się wrażenie, że sygnał idzie skądś z góry, z niebios, a ten muzyk jest tylko przekaźnikiem tych boskich dźwięków. Czara trąbki skierowana prosto w ziemię. To wszystko jest przeznaczone specjalnie dla matki Gaji. Oj, dzieje się. Tutaj odbywa się transmisja geniuszu. Wiele lat później, gdy opowiadam o tym koncercie, dorośli mężczyźni robią

oczy jak pięć złotych i pojawiają się w nich łzy zazdrości. Sam sobie zazdroszczę jak nie wiem co. A ojcu nigdy nie odpłacę się za to, że mnie tam zabrał. Bo ten człowiek z trąbką to TEN człowiek z trąbką. Kosmita. Miles Davis.



Piotr Maskos z rodzicami, graduation, Louisiana State University, Baton Rouge, 1992 r., fot. arch. autora

Rok 1992. Domęczam do końca studia i informuję najbliższych o mojej decyzji powrotu do Polski. Na miejscu jednak szok. Ciemno, ponuro, dziwnie jakoś. A do grozy listopada jeszcze parę

dobrych miesięcy. W moich optymistycznych kalkulacjach nie ująłem klimatu. Starzy i nowi znajomi. Wszyscy zadają to samo pytanie: „Dlaczego wróciłeś?!”. W pytaniu jest więcej wykrzykników niż pytajników. Czasem nie ma pytajników wcale. Tu żadna odpowiedź nie zadowoli pytającego. Wie, że głupio zrobiłem. On by na pewno nie wrócił. A ja plączę się w zeznaniach. Tubylcy co rusz robią oczy jak pięć złotych. Niektórzy zaczynają tłumaczyć mi, jakie cechy charakteru powinienem przejawiać, aby osiągnąć tutaj – w Polsce – sukces. Połowę tego chyba już gdzieś słyszałem. Druga połowa to nowości. Droga do sukcesu nie jest uniwersalna.

Mijają pierwsze miesiące. Zastanawiam się nad praktycznymi korzyściami płynącymi z pobytu w USA w kontekście mojego przyszłego życia w Polsce. Angielski na pewno, ale nie tylko. To zresztą zaleta średnioterminowa. W tej chwili polska młodzież, wychowywana przez internet, mówi świetnie po angielsku. Zauważam też pewne nabyte cechy, które odróżniają mnie od rówieśników. Oni również je zauważają i mówią mi o nich wprost. Kurcze, znowu jestem inny niż reszta. Ale teraz to zaleta. Będąc w Stanach, broniłem się przed nimi, a jednak nabyłem je chyba drogą mimowolnej osmozy. Po pierwsze: pewien optymizm graniczący z łatwowiernością. „Jak to się nie da? Oczywiście, że się da. O, proszę…”. Tamto pokolenie Polaków miało jeszcze wgrany ten PRL-owski program, że nic się nie da zrobić. A ja mam amerykański „can-do attitude”, choć w Stanach objawiał się

on często jako „can’t do”. Po drugie, i to wręcz ironiczne w kontekście tej opowieści: nieobarczanie innych osób winą za porażki w swoim życiu. Róbmy swoje! Po trzecie, i z tego nie powinienem być specjalnie dumny: nabyty bezduszny pragmatyzm. Każde działanie jest po coś. Nie ma pustych przebiegów. Nie zatrzymujemy się, aby powąchać kwiatek, przytulić drzewo. Choć nie wszedłem nawet na ścieżkę zawodową w USA, kultura korpo jakoś przeniknęła mnie na wylot. Wiele lat zajmie mi pozbycie się takiego myślenia i wrzucenie na luz. Na początku mojej polskiej drogi to przeniknięcie kulturą amerykańskiego zapierdzielu odróżnia mnie i jest dla mnie korzystne.

Z niepokojem stwierdzam spore braki w moim wykształceniu. Moi koledzy nie zamknęli się w ciemnej piwnicy na siedem lat mojej nieobecności. Moje braki wynikają z pominięcia formalnej podstawy programowej w liceum ogólnokształcącym – głównie w obszarze lektur i historii Polski. Z tym da się żyć. Nie musiałem też pisać matury. Udało mi się również uniknąć pierwszych lat studiów – zazwyczaj służących do odsiania słabszych studentów. Na co dzień bardziej doskwierają mi luki w wiedzy z obszaru bieżącej polityki, która wydaje się zresztą bardzo niezdrowo wszystkich tutaj pobudzać i pochłaniać. Mam też braki kulturowe. Dotyczą one literatury współczesnej, muzyki czy filmu. Pozycje obowiązkowe, zaliczane przez moich kolegów jeszcze w szkole średniej i na studiach, to dla mnie nowość.

Muszę nadrabiać spore zaległości. Ja mam inne doświadczenia – chcąc nie chcąc, liznąłem amerykańskiego kanonu kulturowego, ale mogę się nimi podzielić jedynie z pasjonatami tematu. To dokładnie lustrzane odbicie sytuacji amerykańskiej. Istnieje pewien kanon kulturowy, który trzeba znać, aby egzystować jak swój w danym środowisku. Aby rozumieć dowcipy, odniesienia, aluzje, niuanse i nie pytać w kółko jak idiota, o co chodzi. Elementy kultury masowej, absolutnie podstawowe w USA (np. Mr. Rogers, komiksy o superbohaterach, kultowe seriale ze złotej epoki telewizji), są raczej nieznane w Polsce i odwrotnie. Ta przepaść – dzięki globalizacji – będzie w przyszłości malała. Ale pamiętajmy, że globalizacja to wielki bajer. Tu absolutnie nie chodzi o żadną wymianę kulturową. To, co twoje, nikogo nie interesuje. Celem tego procesu jest tylko i wyłącznie zasypywanie tej przepaści poprzez sprzedaż produktów kultury korporacji medialnych na świecie. Nikt nie wprowadza globalizacji, aby importować cudze. Koncepcja globalizacji jest jednym z najbardziej perfidnych kłamstw współczesnego świata.

Zostaję na dwa lata studentem Politechniki. Zaczynam od czwartego roku. Magister się sam nie zrobi. Idzie gładko. Tym, którzy dotrwali do tego miejsca, uczelnia nie robi już większych problemów z ukończeniem studiów. Potem znajduję pracę w rodzącej się powoli branży IT. Czerpię garściami z doświadczeń amerykańskich. W międzyczasie pojawiam się w Stanach na tydzień, żeby odebrać obywatelstwo. O tak! To było szczurowate.

Do dziś jest mi z tego trochę głupio. Śpiewam hymn i przysięgam na flagę bronić Ameryki, z którą już się mentalnie pożegnałem. Stosunkowo łatwo to zrobić, bo nie ma przed kim. Jedynym zagrożeniem dla Ameryki jest ona sama, ale wtedy nikt jeszcze o tym nie wie. A nie, przepraszam. Noam Chomsky wie.

Rok 1999. Na przełomie tysiącleci wracam do USA. Na elemencie układanki, którego mi brakowało, aby do końca ułożyć moją amerykańską układankę, widnieje napis „praca". Samodzielnie oddelegowuję się na dwa lata do amerykańskiego oddziału szwedzkiej firmy IT, w której pracuję od końca polskich studiów. Oddział amerykański jest w Folsom w Kalifornii. To tam, gdzie Johnny Cash nagrał swój świetny koncert więzienny. I znowu zaczyna się dobrze, ale stare koszmary szybko powracają. Firma to zbiorowisko jednostek w sztywnym tańcu politycznej poprawności. Nie chodzi o tę jedną, Bogu ducha winną firmę. O każdą. Trzeba uważać, co się mówi. Szkoda, bo najlepsze są dowcipy troszeczkę niepoprawne. W pracy najlepiej mówić tylko o pracy. Wszyscy brodzą w płytkich morzach powierzchowności. Może na tym polega ta cywilizacja? Na ociosywaniu nas z wszelkich wynaturzeń i narośli, aby dało się nas wszystkich świetnie formować w równe sześciany, łatwo wymieniać jedne na drugie, co znacząco ułatwia również pakowanie do pudeł zbiorczych. Pod koniec tych dwóch lat znowu liczę dni do powrotu. Konstatuję z pewnym żalem, że co najmniej połowa z dziewięciu lat, które spędziłem w Stanach, polegała na liczeniu

dni do powrotu do Polski. Gdy tu jestem, jestem chyba największym marnotrawcą czasu własnego życia. Nie powinienem tu być. Więc bye.

Wtedy tego nie wiedziałem. Nie łączyłem kropek. Objawienie przyszło dużo później, całkiem niedawno. Jest to objawienie czysto subiektywne, pewnie znowu niesłuszne. Dla wielu może być herezją i uproszczeniem. Wmówiona mi „niedoskonałość", będąca ciągłym źródłem poczucia gorszości, poczucia winy z powodu własnej nieadekwatności i wpędzania w kompleksy — była celową manipulacją. Ktoś bierze miarę naszej osobowości, cmoka coś tam pod nosem z niezadowoleniem: tu za grubo, tam za chudo. Ale nie martw się, chłopie. Przecież: „Tak!!! Możesz się zmienić!!!" Obiecujemy ci to! Jeżeli będziesz pracował nad sobą zapamiętale i nieustannie, to wcale nie jest powiedziane, że w końcu nie staniesz się takim, jakim zawsze być powinieneś. Posiądziesz cechy idealnego sprzedawcy. Bo my tak naprawdę potrzebujemy tutaj tylko sprzedawców. Wszystko jest towarem. A ty jesteś wart tyle, ile potrafisz sprzedać. Nie chcę już brać udziału w szopce wiecznej rozmowy kwalifikacyjnej i udawać z uśmiechniętą gębą, jak dobrze potrafię sprzedać komuś wymyślony długopis. Jeżeli ktoś go potrzebuje, to dam mu swój. Naprawdę. Mam jeszcze ołówek.

Rok 2001. Wracam wyleczony na zawsze z Ameryki. Moja terapia – czy może resocjalizacja – w Folsom powiodła się. Teraz

Polska! I tak już zostanie. Życie w naszym pięknym kraju stopniowo normalnieje. Dostrzegam i autentycznie raduję się wszystkim dobrem, które wyrasta wokoło. Wracam za ocean sporadycznie, na ważne wydarzenia rodzinne. Wtedy jestem tam turystą jak na początku na Manhattanie. Wspomnienia bledną. Wypaczają się. Pamiętam to, co było dobre. Nie liczę zysków i strat. Jestem we własnym domu. Mam bliski kontakt z rodziną, która została w kraju. Staram się podtrzymywać więzy z tymi, którzy wyjechali – nie tylko do Stanów. Czy moje wyjazdy miały sens? Tak, były nauką. Sens miały też powroty. Emigracja to sprawa trudna i indywidualna. Świetnie jest mieć ją jako wybór — jako wolność, dzięki której wszystko mogę, a niczego nie muszę. Emigracja w desperacji i z konieczności to wielkie nieszczęście.

Grudzień 2025. „Gupi" morał. Wikipedia definiuje „inteligencję" jako zdolność do postrzegania, analizy oraz adaptacji do otoczenia i zachodzących w nim zmian. Trzymając się formalnie tej definicji, można by wysnuć logiczny wniosek, że brak adaptacji lub jej niski poziom do zmian otoczenia jest oznaką braku inteligencji. Powyższa definicja zakłada, że otoczenie jest nam narzucone jako dynamiczny czynnik zewnętrzny, a my adaptujemy się do niego sprawnie albo nie. Taaaa… Narzucone… W tym sęk. Pasuje mi to do metafory szczurów w labiryncie. Szalony naukowiec pochyla się nad labiryntem i robi szczurom przykre kawały. Tu razi je prąd, tam

są głodzone, gdzieś indziej łapki całkiem rozjeżdżają się na rozlanym oleju. W swym kajeciku skrupulatnie odnotowuje reakcje i postępy ich adaptacji, ocenia ich inteligencję. Na ścianach labiryntu zdjęcia „Szczura miesiąca", tablica poświęcona szczurom, które oddały życie dla chwały korporacji „Laboratorium", hasła dopingujące, żywcem wyjęte z innych systemów, ale wciąż zadziwiająco aktualne: „Program korporacji programem narodu", „Korporacja «Laboratorium» — jedyna droga rozwoju", „Naród popiera programy korporacji". I musiał strasznie się zdziwić, gdy jeden ze szczurów wyskoczył z labiryntu na podłogę i wrzasnął (może za Holoubkiem z tej słynnej i wspaniałej anegdoty ze SPATiF-u): „Nie wiem jak państwo, ale ja wypierdalam".

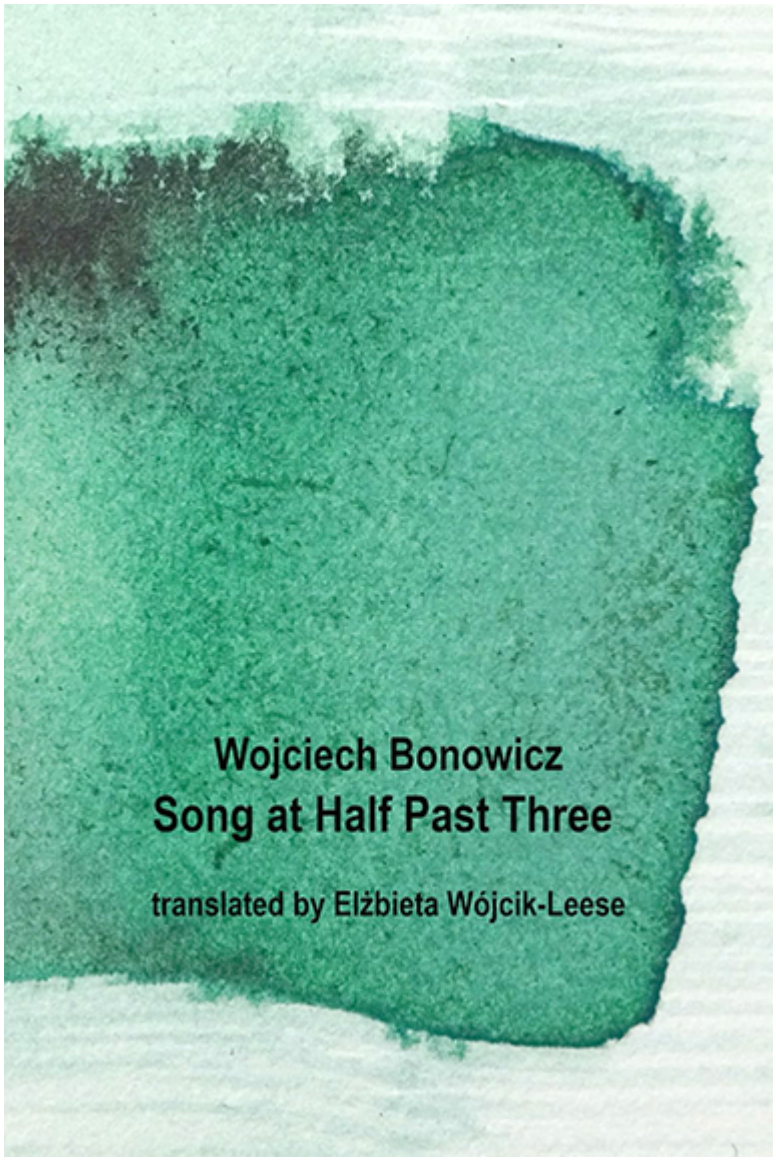
Trzecia zasada hawajskiej filozofii huny mówi, że energia podąża za uwagą. Nauka z kolei podkreśla doniosłą rolę obserwatora w mechanice kwantowej. Nie powinniśmy rozmieniać uwagi na drobne ani śledzić rzeczy nieistotnych, chwilowych, durnych. Pozbawione tej uwagi znikną, umrą z głodu, bo przecież żywią się właśnie tą naszą uwagą. Nie walczmy z systemami. Walka tworzy i pogłębia polaryzację oraz dualizm, a nas utwierdza w fałszywym przekonaniu, że powinniśmy się nimi interesować. Nie mam telewizora. Nie mam radia. Nieskutecznie staram się, aby nie docierały do mnie żadne newsy z internetu. Czasem kątem ucha usłyszę o tym, co dzieje się w Stanach. Robię wtedy oczy jak pięć złotych.

Nowy, brytyjski zbiór poetycki Wojciecha Bonowicza

Zbigniew Mirosławski

“Song at Half Past Three and Other Poems”

(Literary Waves Publishing, London: 2026)



*

Zbiór poezji Wojciecha Bonowicza, wydany przez londyńskie wydawnictwo Anny Marii Mickiewicz Literary Waves Publishing, w tłumaczeniu na język angielski Elżbiety Wójcik-Leese i pod patronatem Instytutu Książki w Polsce, to wybór wierszy z różnych publikacji z 2009 roku, aż po wiersze z tomu „The Open Sea”, a także te opublikowane na stronach internetowych „Poetry Ireland Review”, „Poetry Wales”, „Modern Poetry”, „The Manhattan Review” i innych.

O autorze i jego twórczości pisano już wielokrotnie. Jacek Gutorow omawia odmowę Wojciecha, by podporządkować się nakazom dosłowności. Moją pierwszą refleksją na temat treści i formy jego twórczości jest silne wrażenie bycia na wskroś nowoczesnym. Nie chodzi tu o dystansowanie się od awangardy czy późniejszej „współczesnej" Nowej Fali i podobnych nurtów. Chodzi o wyraźne pragnienie zawarcia maksimum znaczeń, skojarzeń i metafor w minimum słów. Cenię sobie takie praktyki i precyzję.

Utwór otwierający, „Pieśń o wpół do czwartej", z dodanym „i innymi wierszami", nadaje tytuł całemu tomikowi. Był już omawiany, a fragmenty cytowano. Niczym teatr w teatrze, poezja w poezji, tautologiczne tłumaczenie idem per idem, ignotum per ignotum, zapętla się w przypisywaniu autorom wierszy istnienia krowy (istnienia świętych krów?), wizji architektonicznych i społecznej uciążliwości („*…Poeci są uciążliwością / której naprawdę nie da się naprawić nacjonalizmem postępu wojennego / giełdą papierów wartościowych ani innymi chwytliwymi metaforami…*"). Ponieważ „*…poeci otrzymują nagrody, którym nie można ufać /… nic nie mówią lub po prostu wzruszają ramionami…/poeci mają blade brzuchy…" i są dość podejrzani*. Dotarcie do sedna wiersza również nie jest łatwe. W wierszu „Noc", próbując uchwycić jego znaczenie, najpierw *„…nie oddychaj… używaj / łóżka, zegarka, mapy…*". Wyobraźnia wiersza na to nie pozwala; jest to immanentne. Trzeba czekać, aż

„…złoty pył / nadziei…” zamigocze. Twórca musi być czujny, obserwować, mieć w sobie drugą parę oczu. Podczas edycji (w wierszu o tym tytule) litery pojawiają się nawet na szybach okiennych.

W wierszu „Fragment” *„…Poeci wstają ostatni…”*. Widzą więcej, na przykład w wierszu „W zimny dzień” wiedzą, jak przygotować twarz przed wystawieniem jej *„…na słońce…”*. W wierszu „Cień” widzi zbrodnie i różne sposoby zabijania. Pyta, dlaczego wiatr Nie zdmuchnie smrodu spalenizny? Jego miejsce urodzenia, Oświęcim, obok niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, wystarczająco dobrze wyjaśnia taką wrażliwość, również w odniesieniu do ofiar gułagu. Podobnie w wierszu „Pierwsza lekcja”, gdzie pytanie o liczbę zamordowanych kończy się modlitwą, by było ich jak najmniej. W wierszu „Powstaniec” Czytamy o parze gołębi, naszych alter ego, podających sobie gałązkę ocaloną z potopu. Ten wątek nawiązuje do starożytności, do Antologii Palatyńskiej, do wierzeń, których nie powinno być w nadmiarze. Refleksje nad przemijaniem odnajdujemy w wierszach: „Oko”, „Zegar”, „Za płotem”. Proste obrazy sznurów do prania, przygotowanych siatek, stogów siana, potrafią zachwycać, zostają uwiecznione. Wizja psa zabitego kamieniem również powinna zostać zachowana.

Teksty „Możliwe zakończenie”, „Zapis” i „Na każdą okazję” są ponadczasowe. W „Poemacie oburzenia” czytamy: *„…Śmierć ma*

twarz / nie zawsze zwróconą ku ziemi. / Może być dzieckiem. Może / biec pośród innych dzieci…”. W wierszu „Drzewa”: *„…Umarli chodzą między nami /…I chodzą / między nami jak między drzewami”*. W wierszu „Hieny” znajdujemy fragment *„…Niech się popiołem nie stanie to, co było popiołem…”*, będący błaganiem o pamięć. Utwór kończą wiersze takie jak „O kruku na płocie”, „O strażniku „pustego pola”, „O Paruzji”, *„Bogu widzianym na ulicy, opierającym głowę o szybę pustego sklepu”*, oraz „O papierze”, o wszelkim ludzkim okrucieństwie.

Wojciech Bonowicz jest świadkiem zbrodni XX i XXI wieku, łowcą paradoksów, mędrcem przypominającym nam o rzeczach oczywistych i najprostszych w zwięzły i filozoficzny sposób.

Tomik jest dostępny na Amazon.